Nr. 5. Lwów, 29. Października 1899. **Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIII.**

Numer pojedyńczy **20 ct.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

wychodzi na każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 8 ct. od wiersza petitowego
Reklamy po 20 ct. 30 ct. i 50 ct. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *8 zł.*, półrocznie *4 zł.*, kwartalnie *2 zł.*, miesięcznie *70 ct.* W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie.* Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

*Redakcja i Administracja **Tygodnika Narodowego** we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

W sprawie małego kredytu.

W »Dzienniku Polskim«, w numerze 294 z d. 23. b. m., p. Stanisław Ostaszewski poruszył bardzo ważną sprawę, która pod względem materjalnym i moralnym szeroki ogół żywo zainteresować powinna. Stawia on mianowicie wniosek, ażeby rząd otworzył kredyt dla małych rolnych posiadłości, nie przekraczających 100 hektarów obszaru.

Myśl ta — jak już wyżej zaznaczyłem — jest ze wszech miar godna uwagi, a w razie urzeczywistnienia jej, stała by się bezsprzecznie wielkiem dobrodziejstwem dla kraju i drobnego rolnictwa. Lecz w tych zarysach, jakie proponuje p. Ostaszewski, sprawa ta, tyle ważna, nie mogłaby się urzeczywistnić. Zamach jest w pomyśle, lecz szczegóły nie są wykończone.

I tak:

P. Ostaszewski proponuje, aby rząd wziął na siebie całą sprawę i nią kierował własnymi funduszami. A ponieważ rząd w obec wydatków ciągłych, objętych budżetem państwa, gotówką na inne cele dysponować nie może, otóż — należałoby stworzyć nowy kapitał, czyli inaczej mówiąc — fundusz dyspozycyjny dla tego rodzaju pożyczek.

Aby ten kapitał, czy fundusz uzyskać, radzi p. Ostaszewski rozpisać pożyczkę 3%-wą. Otóż, na tym punkcie nie możemy się zgodzić z projektem p. O. — Kto dzisiaj będzie kupować obligi państwowe na 3%, które zwać się będą, przypuśćmy: Obligacjami małego kredytu, rzeczy dotąd nieznanej i w przeprowadzeniu nie bardzo wyraźnej. Lecz mniejsza z tem. Przy dobrej woli rządu, czy w ten, czy w ów sposób, możnaby znaleść kapitał, ale nigdy na 3%. Na zniżkę stopy procentowej musimy długo czekać, a ta — jaka obecnie obowiązuje, z 3% się nie zadowoli.

Wobec tego i w obec obecnego prądu na zwyżkę stopy procentowej, musianoby wydać akcje, czy obligi przynajmniej $4\frac{1}{2}$%, bo widzimy, że listy hipoteczne banków obecnie u nas znakomicie prosperujących źle stoją i tak np. listy hipot. Banku hipotecznego, instytucji świetnie prosperującej, przy obecnej wysokiej stopie procentowej, spadły w tych dniach o kilka reńskich. Kiedy przed paru tygodniami listy $4\frac{1}{2}$% kupowano z bieżącym kuponem po $100._{25}$, dziś te same listy są do nabycia po 98. Gorzej jeszcze z listami 4%. Niedawno miały kurs $96._{75}$, a dziś stoją zaledwie 94 zł. za 100. A Bank hipoteczny, to stara instytucja, wypróbowana, która już parę *krachów* wytrzymała i której akcje na 200 zł. opiewające, wahają się pomiędzy zł. 370 do zł. 385.

Wracając się do projektu p. Ostaszewskiego, ażeby rząd rozpisał pożyczkę 3% w papierach, musimy zająć stanowisko pesymistyczne i stanowczo utrzymujemy, że takie obligi nie dojdą nawet kursu 80 za 100.

To jednakże są rzeczy, które rząd po porozumieniu się z kapitałami większymi, z finansistami uregulować łatwo może. I można za pewnik przyjąć. że jeżeli rząd nasz chciałby w ten, lub w ów sposób zaciągnąć pożyczkę na taki cel, jak udzielanie na rolę małych pożyczek, zawsze odpowiedni znajdzie kapitał, lecz nigdy, jeszcze to raz powtarzam, na 3%. Ta stopa procentowa nie prędko się wróci.

Szanowny autor projektu, który — jak już powiedziałem, ma nadzwyczaj wiele stron dodatnich, myli się także, co do spłacania danej pożyczki, proponuje bowiem, ażeby dłużnik spłacał wraz z amortyzacją tylko $4\frac{1}{2}$%. To jest niemożliwe!...

Najpierw liczyć się z tym musimy, że są i być muszą duże koszta administracyjne, druki itp. Te kosztą są takie same przy pożyczkach na zł. 100.000, jak i na 500 zł., a że to będą drobne pożyczki, więc będzie ich dużo, ale i tym więcej kłopotu.

A teraz wyobraźmy sobie, że ktoś mający X. morgów obszaru, przystępuje z prośbą do tak nowo utworzonego banku i prosi o pożyczkę. P. O. twierdzi, że kosztów nie będzie. Otóż ja sądzę, że p. O. jest w błędzie, bo przecież do ksiąg hipotecznych zapisu długu inaczej wnosić, tj. zapisywać nie można, dopokąd nie ma zrobionego aktu notarjalnego. Gdyby nawet podanie o pożyczkę nic nie kosztowało, to akt notarjalny zawsze coś kosztować musi, a bez niego wpis do hipoteki jest nieważny.

Szanowny wnioskodawca powiada, że $4\frac{1}{2}$% wystarczy, ażeby pokryć procenta i część kapitału amortyzować. To jest niemożliwe. Banki nasze z wyrobioną egzystencją dając $4\frac{1}{2}$% pożyczki, biorą w rachubę niski kurs papierów, które same winkulują. I tak, za 10.000 zł. płaci się stronie 9.800 zł. z tego wynika, że t. z. strona traci zł. 200. A że papiery starych instytucyj stoją dobrze, to można za pewnik uważać, natomiast nowe listy hipoteczne, chociażby przez rząd wydane, takiego kursu mieć nie będą i interesant straci na papierach.

Dotąd omawialiśmy sprawę z punktu czysto materjalnego. W następnym artykule, poruszając tu i owdzie tę samą kwestję, postaramy się poruszyć jej grunt moralny i zapoznać naszych czytelników z tem, coby być mogło, a co nie jest. *K.*

Czwarta dzielnica Polski.

Liczne wychodźctwo polskie w Stanach Zjednoczonych półn. Ameryki, składające się z przybyłych z pod wszystkich trzech zaborów i z urodzonego już na amerykańskiej ziemi drugiego pokolenia, liczbą swą doszło do nazwy czwartej dzielnicy Polski.

Są tu reprezentowane wszystkie stany społeczne, z których się składa naród polski. Ogromną większość jednak stanowi ludność robotnicza, lud dzielny, pracowity i uczciwy, ciężką pracą rąk swoich zdobywający kawałek chleba dla siebie i dla swych rodzin. Lud ten, do którego należy przyszłość, powinien przedewszystkiem dbać o to, żeby pozostać polskim. Mało jest na świecie narodów, tak bogato uposażonych od natury, jak naród polski.

Wychodźctwo polskie nie zrywa duchowej łączności ze starą ojczyzną; owszem, skłania się sercem do niej.

Czwarta dzielnica Polski, stoi pod względem oświaty niżej od »starej ojczyzny«. Nie posiada licznego zastępu światłych, naukowo wykształconych polaków, którzyby mogli kierować życiem umysłowem i politycznem naszego wychodźctwa.

Zbyt mało posiada ludzi takich, którzyby nauką i zacnością zdobywali sobie wysokie stanowiska między amerykanami. Jesteśmy prawie ostatnimi na tej ziemi, a moglibyśmy być jednymi z pierwszych.

Młodzież polska w Ameryce posyłana do fabryk po wyjściu ze szkół parafjalnych, psuje się i amerykanizuje, w najgorszem znaczeniu tego wyrazu. Nie styka się ona tam z tem, co u amerykanów jest najlepsze, ale z tem, co u nich najgorsze. Jest polaków półtora miljona w Stanach Zjednoczonych, czyli blisko trzydziesta część ludności tego państwa, a czy posiadają oni jaki wpływ na sprawy tego pań-



stwa, na jego politykę? — Żadnego. Za lat dziesięć, liczba ta zwiększyć się może w trójnasób, a jeżeli wtedy będziemy równi oświatą innym narodom, to przy zdolności i uczciwości polskiego ludu, będziemy mogli zająć takie miejsce, jakie dziś naprzykład zajmują niemcy w Ameryce.

Będzie z tem dobrze i nam i ojczyźnie naszej, bo wrogowie nasi, widząc nas tutaj zamożnymi i potężnymi, będą się musieli liczyć z nami.

Drugą drogą do siły i wielkości, jest jedność, zgoda i łączność.

Rozproszeni i żyjący każdy na własną rękę, a choćby nawet połączeni w małe grupy po kilkaset osób, nigdy nie dojdziemy w Ameryce do większego znaczenia. Ludzie tylko siłę szanują, a gdzie jest większa siła, jak nie w złączeniu się tysięcy ludzi pod jednym sztandarem?

Nie posiadamy własnego rządu. W rodzinnym krajn nie możemy łączyć się w wielkie organizacje, któreby ogarniały setki tysięcy ludu. Wrogowie nasi wiedzą, że takie łączenie się dałoby nam niespożytą siłę, więc pilnują ściśle, żeby nas do tej siły nie dopuścić. Ale w Ameryce co innego. Tu naszym najświętszym obowiązkiem jest dążyć do utworzenia takiej silnej organizacji, żeby ta organizacja wyglądała jak małe państwo polskie. Początek już zrobiony, gdyż mamy organizację narodową polski.

Tak więc oświecajmy i łączmy się w jedną wielką i silną organizację. Mamy w Ameryce swobodę, mamy względny dobrobyt, możemy rządzić się własnym rozumem i wolą. Nie krępują nam tutaj rąk, nie kneblują ust, nie wiążą i nie prześladują.

Zechciejmy więc zrozumieć, że im będziemy silniejsi, zamożniejsi i światlejsi, tem lepiej będzie dla nas samych.

Do tego światła, do tej jedności dążmy otwartemi rękoma i spełnijmy obowiązek, jaki leży na czwartej dzielnicy Polski.

Mazur z Ameryki.

Ślubna sukienka.

Powiastka z warszawskiego bruku

przez

Annę Neumann.

(Dokończenie. Patrz Nr. 4.)

Henryk wzdrygnął się, ale wnet zapanował nad sobą i rzekł:

— Służę panu.

Odchodząc, zbliżył się raz jeszcze do narzeczonej i pożegnał ją czule.

W pojeździe Henryk siedział milczący, ponury, nie okazując najmniejszego zainteresowania się smutnym losem zmarłej dziewczyny. Komisarz zauważył ze zdziwieniem, że Henrykowi położenie domu było zupełnie nieznajome.

— Albo udaje, albo może ją się mylę — mruknął do siebie.

* * *

W izbie Janiny pracowało teraz kilka ludzi, stary doktor zabierał się do obdukcji i rozkładał swe narzędzia, przy stoliku zaś siedział drugi niemłody mężczyzna w ciemnych okularach, o dobrodusznej, poczciwej twarzy i zajęty był pisaniem. Przed nim, na stoliku, leżało kilka książek Janiny, same poezje, niegdyś przez Henryka jej dane; była tam i paczka listów, niebieską wstążeczką związana i obrazek święty i wreszcie mała pożółkła fotografja.

Komisarz policji, wszedłszy do pokoju, zbliżył się do piszącego i dość długo rozmawiał z nim cicho, wskazując na leżącą fotografję. Sędzia wysłuchał opowiadania, poczem obrócił się na krześle i popatrzył badawczo na Henryka, stojącego przed łożem, na którem złożono teraz Janinę.

Leżała biedna w bieluchnej sukience, jak kwiatek przedwcześnie ścięty. Henryk patrzył z rozmarzeniem na tę twarzyczkę obrzękłą i zmienioną, na te usteczka zsiniałe, które niegdyś tak słodko i szczerze szczebiotać umiały; na te warkocze złote, spływające, aż na podłogę, którymi niegdyś bawić się lubił. Nie kochał nigdy Janiny, jej uczucie było mu chwilową rozrywką, zresztą chlubił się tem zawsze, iż nie cierpi sentymentalizmu. Mimo to jednak, na widok tej śmierci, żal uczuł szczery. Więc to uczucie dla niego zabiło tę istotę. Dowiedziawszy się, że on poślubia inną, odebrało sobie życie, ale przed śmiercią, raz tylko ubrać się chciała w suknię ślubną. Szalona dziewczyna! — Kto mógł myśleć.

— Czy mam zaszczyt mówić z panem Henrykiem Pożarskim? — odezwał się w tej chwili głos sędziego.

Henryk skłonił się, sędzia zaś dał znak komiszarzowi, aby pozostawił ich sam na sam.

— Panie Henryku — rzekł zbliżając się do młodego człowieka — pan znałeś tę dziewczynę, opuściłeś ją i porzuciłeś niegodnie.

— Panie sędzio...

— O, nie zapieraj się pan; zresztą nie ma się i czego zapierać, takie rzeczy dzieją się codziennie. Chodzi tylko o warunki, w jakich się dzieją. Oto pańska fotografja i listy, podpisane wprawdzie tylko imieniem chrzestnem, ale prawdopodobnie od pana pochodzące. Bądź pan łaskaw opowiedzieć mi całą przygodę.

Henryk widząc, że trudno mu zaprzeczać prawdę, opowiedział szczerze cały swój stosunek z Janiną; jak znudzony tą studencką miłostką, mając przytem zamiar poślubienia bogatej kuzynki, postanowił zerwać znajomość i aby uniknąć scen gwałtownych, a niepotrzebnych, zmienił pomieszkanie i wyjechał na wieś. Tam, dowiedziawszy się przypadkow o nędzy, w którą popadła Janina i o chorobie jej matki, wysłał pieniądze, nie podając swego adresu, pragnąc dopełnić obowiązku sumienia.

— Któż się mógł spodziewać, że dziewczyna takie popełni szaleństwo!

Kronika niedzielna.

Czarne myśli ze świeżej kroniki żałobnej. Z powodu śmierci ś. p. Szumskiego. Miłościwe ręce. Lichwa w pracy umysłowej. „Spryt“. Mosty. Trzeba wybaczyć.

Nie było mi nigdy tak ciężko pisać *kroniki*, jak dzisiaj...

Przygniotła mnie solidarność dziennikarska — żelazny wilk, o którym się w ostatnich czasach dużo mówi i pisze, a nigdy go nikt na własne oczy nie widział.

Ś. p. Szumski jest najświeższym jej przykładem — zginął, jak ten zając, co »wśród przyjaciół psy go zjadły«...

Dziś piszą mu łez pełne nekrologi, a jest tak jak Mickiewicz w goryczy ducha powiedział:

»Za życia ci jeść nie dadzą,
A po śmierci za to kadzą...«

Mówimy często, a właściwie deklamujemy o naszem ubóstwie, tymczasem my nie jesteśmy ubodzy wcale — my jesteśmy bogatsi od innych narodów, bo Bóg wyposażył społeczeństwo nasze wyjątkowymi skarbami, które dają moc, a wiarę w to, co jest, aby z tego było to, co będzie — ale marnotrawni jesteśmy dlatego, że jest z czego marnotrawić...

Naprzykład Szumski...

Znowu on?

Smutno — ale trudno — stało się — dowie nie jeden poczciwiec. Tak, stało się, ale stało się tak źle, że gorzej nie może być, nawet w piekle...

Myśmy Szumskiego zmarnowali.

Jak?...

Odpychaniem jego zbożnej, uczciwej i pożytecznej pracy.

Nie może być większej trajedji życiowej, jak ta, gdy się umie i chce pracować, a jednak trzeba przymierać z nędzy i żądzą pracy, a jej bezskutecznością tak się wyczerpiesz, że zaledwie ci tyle sił starczy, aby uchwycić samobójczy rewolwer do ręki.

Tak było z Szumskim.

Był jednym z najzdolniejszych pod względem wszechstronności pracy zawodowej, z dziennikarzy lwowskich i palnął sobie w łeb, bo nie miał gdzie zużytkować tych zdolności... Cóż to za marne stosunki, gdy człowiek wśród nich woli nie żyć!.. Zapewne, że suma błędów sprowadza katastrofę życiową — ale od czegoż miłościwe ręce ludzkie, aby błędy przebaczyć, ducha w człowieku podnieść i umocnić go, a katastrofę ubezwładnić... Tych rąk miłościwych w naszym zawodzie dziennikarskim, specjalnie lwowskim zaledwie tyle, że potrafią ci łzawy nekrolog napisać i »zakadzić«, gdy już nic od nikogo nie potrzebujesz, no, i sprawić pogrzeb z wieńcami...

Dziwna rzecz! Oburzamy się na lichwę — zresztą bardzo słusznie — jest nawet przeciwko niej wyjątkowa ustawa karna — także bardzo słusznie, a nigdzie nie panuje taka lichwa, jak w stosunkach pracy umysłowej.

Proszę się tym stosunkom, lwowskim np. przyjrzeć bliżej! Są tacy, którzy wkładają duży kapitał nauki, talentu, pracy, powołania i dochodzą do guzika i pętelki — a jest cała rzesza takich, co w głowie i w sercu mają trociny, a jednak wyrastają z nich warunki prowadzące na tak nazwane stanowisko, które, co prawda, jest mądrzejsze od tego, co się na niem rozpiera — ale nikt go z niego nie ściągnie, bo przymocowany jest do »stanowiska« złotymi gwoździami, a te silniej trzymają, aniżeli nauka, talent, rozum. Rozum dziś zastępowany jest, przez tak nazwany chemicznie »spryt«. Tylko, że rozum siedzi w głowie, a »spryt« może się mieścić i... w piętach.

U nas — w sprawach literatury i sztuki, stosunkowo, jest więcej lichwiarzy, aniżeli wśród żydów.

Jakie te drobniutkie umysłowe kapitaliki przynoszą olbrzymie procenta!... Cóż to za »grajzlerajnie« literackich kucharzy, pakują do kieszeni złote jabłka!... Prawdziwe eldorado dla głupich i »sprytnych« — lepszego nigdzie nie znajdą... I po co mają szukać, kiedy im samo idzie do rąk?...

»Nie było nas — był las — nie będzie nas — będzie las« — po co rozdzierać piersi własnemi rękami? Krwi szkoda i rąk szkoda, i pereł ludzkiego cierpienia także szkoda...

— Szaleństwo! zapewne — przerwał z goryczą sędzia — ale któż popchnął ją do tego szalestwa? Kto rozkołysał młody umysł obrazem szczęścia, pieszczotą pierwszego uczucia, kto wyłudził wiarę i zdradził ufność młodego serca, bawiąc się przez chwilę tą łatwą zdobyczą? Zdaje się panu, że spełniłeś obowiązek, rzucając jałmużnę tej dziewczynie. Otóż właśnie ta jałmużna, to moralne zabójstwo kobiety; zapłata za jej hańbę, poniżenie jej uczuć, ziarno zepsucia zasiane w duszę młodą. Podeptałeś pan jej miłość i opuszczając ją w niedoli, bez słowa pociechy, popełniłeś czyn nieszlachetny.

— Panie...

— Nie oburzej się pan — mam siwe włosy, do pojedynku nie stanę. Powiadam panu, żeś winien śmierci tej dziewczyny.

— Cóż? czy miałem się z nią żenić?

— O tem nie mówmy — odparł spokojnie sędzia — zdaje mi się tylko, że chcąc się bawić, mogłeś pan bawić się inaczej i z innemi kobietami, a szanować pierwsze uczucie niewinnej dziewczyny. Ale nie, pan żądałeś silniejszych wrażeń, trzeba ci było młodej, niewinnej ofiary! Nie przeczę, że takie wypadki zdarzają się codziennie. Kodeks towarzyszki nie potępi pana? — i owszem, przyklaśnie takim grzechom, jak bohaterskim czynom. O! wierzaj mi pan, salony wasze kryją przestępców częstokroć gorszych, jak ci, których zamykamy w więzieniach. Są tam ludzie, którzy zatruli szczęście i życie całych rodzin, tak... jak pan... dla igraszki...

Tu przerwał urzędnik, a ciemna chmura wspomnień osiadła mu na czole.

— Wybacz pan — rzekł po chwili — dziwak jestem. Wy młodzi przywykliście dzisiaj, każdą miłość piętnować imieniem szaleństwa; wstydzicie się okazać trochę serca... Dla mnie zaś, każde uczucie jest czemś świętem... Tak mnie matka nauczyła. Dziwak jestem. A teraz uciekaj pan, bo zbyt długa bytność tutaj, zwróciłaby niepotrzebnie uwagę. Oto zwracam panu fotografję. Listy będą nam potrzebne, ale nie obawiaj się pan, nazwisko pana nie będzie nikomu znane; narzeczona się nie dowie. Wracaj pan teraz do niej i staraj się lepiej wiary jej dochować, jak tej biednej dziewczynie.

Henryk nie byłby może tak spokojnie słuchał ostrej perory sędziego, gdyby nie wzruszenie, na widok tej cichej, bolesnej śmierci.

Milcząc podał rękę staremu urzędnikowi, potem zbliżył się do zwłok Janiny i szepnął z cicha:

— Przebacz.

Zdało mu się jednak, że z tych ust wpół otwartych, jakiś jęk straszny, czy skarga wydobyła się bolesna i goni za nim i echem w jego duszy dźwięczy...

. . . .

Liczną gromadą zebrali się ludzie na pogrzebie Janiny: nie z litości dla biednej dziewczyny, ale przez ciekawość. Podawano sobie z ust do ust najrozmaitsze szczegóły, najciekawsze ploteczki. Każden chciał się czegoś dowiedzieć o tajemniczym wypadku, lecz gdy trumienkę złożono do grobu, nikt nie westchnął za sierotą. Stare baby szeptały pacierze, przerywajac je czasami rozmaitemi uwagami:

— Ot co! dziewczynie jedwabiów się zachciało ot co! panicza jej trzeba było — Pan Bóg skarał, śmierć przyszła...

A tymczasem — mogiłka rosła i rosła pod ręką grabarzy. Zatknięto czarny krzyżyk w świeżą, wilgotną ziemię. Potem ucichły dzwony cmentarnej kaplicy i ludzie powoli rozchodzić się zaczęli. Wtedy z całego tłumu pozostała uboga dziewczyna, która przed chwilą ciekawie słuchała rozmowy starych kobiet. Teraz zbliżyła się do mogiłki i odpiąwszy wiązkę bratków świeżych, które miała przy sukience, złożyła ją pod krzyżem. Potem uklękła koło grobu, a cicha łza błyszcząca, stoczyła się powoli z jej rzęsów na ciemne listki bratków. — Biedne dziewcze!

»Spryt« w życiu — to grunt!... Jak ten specyfik posiędziesz, możesz się przewalać po życiu, jak po najwygodniejszym, szerokim i miękkim materacu. Jeśli ci trochę dolegnie, to chyba jakaś nitka, co się skręciła na dwoje...

No i co będzie dalej?...

Będzie las, choć nie stanie nas... W to wierzę — ale, że nasze »sprytne« pokolenie z lasu, co rośnie teraz przynosi tylko drzewo na mosty, po których inne pokolenia przejdą do lepszej przyszłości — to prawda, której nie obalą żadne argumenta.

Toż w literaturze i sztuce, budujemy same mosty, po których nigdy chodzić nie będziemy — my żyjący...

Musi tak być, skoro inaczej być nie może — ale, żeby to miało być tak bardzo wesołe, tego chyba powiedzieć niemożna...

Czarnym płaszczem jakiegoś wybujałego pesymizmu, okryła się ta dzisiejsza moja *kronika niedzielna* — czuję to i nie mogę się temu oprzeć...

»Są chwile w życiu ludzkiem« — aforyzm dość spowszedniały, ale nie bez pewnej podstawy filozoficznej — takim chwilom podlega czasem kronikarz, nawet *niedzielny*... Trzeba mu wybaczyć, bo widocznie zadygotało mu coś pod sercami, gdzie »spryt« nie mieszka, choć i tam czasami zagląda...

Krzywdzic.



Anna Neumann,

utalentowana autorka »Ślubnej sukienki«, oraz wielu powieści i innych utworów literackich.

Anglicy i Transwaal.

(O co właściwie chodzi?)

Bogate pokłady i kopalnie złota Transwaalu, nie od dzisiaj budzą pożądliwość John Bulla i niewątpliwie są jednym z głównych powodów wojny, wybuchłej nad niewielkim tym kraikiem, podczas której boerzy w obronie swobody i ognisk domowych, toczyć będą zmuszeni nierówną walkę z całą potęgą angielską.

I dzisiaj już, angielskie kapitały i przedsiębiorcy eksploatują większość kopalni transwaalskich, ale niezależność kraiku, jego odrębne prawa i zwyczaje, nie pozwalają anglikom, czuć się zupełnie jak u siebie w domu, rozwinąć działalność na szerszą skalę tak, aby wyprzeć współzawodnictwo innych ludów, które jak np. francuzi mają zaangażowane w przedsiębiorstwach tych dość znaczce sumy. A kopalnie te, to nie loterja, jaką było poszukiwanie złota na placerach Kalifornji, lub nawet nowoczesnego Klondyke'u. Tam pojedyńczy górnik, lub najwięcej drobna grupa z dwóch, lub trzech ludzi złożona, najpierwotniejszemi narzędziami, poruszanemi siłą rąk własnych, dobywała i przemywała piasek złotonośny. Obok szczęśliwca, któremu udało się na dnie płuczki znaleźć parę uncyj złota, osiadali liczni towarzysze, przemywając zawzięcie piasek bez żadnej pewności, żadnych naukowych danych, czy piasek ten zawiera dość złota, aby zapłacić ich trudy. Powstały z rozkładu skał złotonośnych piasek, unoszony przez wartkie potoki górskie, niósł z sobą drobne okruszyny złota, składając je w mniejszej, lub w większej ilości, podług siły prądu na dnie strumyka, w zakrętach, lub zagłębieniach. Obok wybrańca fortuny, który natrafił w łożysku starego strumienia na bogatszy pokład, wielu jego sąsiadów pracując dzień cały, zaledwie zarobić mogli na utrzymanie, zwykle niezmiernie w kopalniach kosztowne.

Kopalnie Transwaalu inne zupełnie przedstawiają warunki i inny sposób eksploatacji. W porównaniu do pojedyńczych wysiłków kalifornijskiego górnika, to praca potężnej machiny parowej, do oskarda górnika. W Transwaalu przeważnie podlegają eksploatacji nie piaski złotonośne, o zmiennej bardzo zawartości metalu, lecz same skały pierwotne, w których złoto zawiera się w postaci delikatnych żyłek i wkropleń.

Zawartość przeciętna złota w danej skale, daje się przez analizę z wielką ścisłością określić, tak, iż przystępując do eksploatacji, można działać na pewnych podstawach, oprzeć się na ścisłym rachunku. Niewątpliwie, że i tutaj trafiają się niespodzianki, spotykają się wyjątkowo bogate żyły, mogą one jednak tylko zwiększyć w pewnej mierze zysk przedsiębiorstwa, byt jednak jego opiera się na tej średniej przeciętnej z góry obliczonej.

Rozbijanie i kruszenie skał złotonośnych, nie może być dokonane siłami pojedyńczego człowieka, lecz wymaga kosztownych maszyn, silnych motorów, co wszystko wymaga znacznego kapitału.

Ogromne zyski, jakie osiągnęli pierwsi odważni, którzy ze znaczniejszym kapitałem wzięli się do racjonalnej eksploatacji, zachęciły europejskich kapitalistów. Potworzyło się mnóstwo towarzystw akcyjnych, które rzuciły się na wyścigi w przedsiębiorstwo tak ponętne.

Rozwój w tym kierunku był tak szybki, że w głównym okręgu kopalń złota Transwaalu, zwanym Wittwatersrand, produkcja miesięczna, która wynosiła w styczniu 1892 r. 84.560 uncyj, podniosła się w sierpniu roku bieżącego do 459.709 uncyj, to jest prawie $5\frac{1}{2}$ raza więcej. Przyjmując średnią cenę uncji 86 franków, otrzymamy na wartość produkcji miesiąca sierpnia r. b. przeszło $39\frac{1}{2}$ miljona franków. I to, jak objaśniają sprawozdania i dzienniki specjalne, produkcja ta mogłaby niewątpliwie być wyższa, gdyby nie niepokój wywołany obawą wojny i odczuwany w skutku tego brak robotnika.

Całkowita produkcja okręgu Wittwatersrand'u, w r. 1898 wyniosła 4,295.602 uncyj, czyli przeszło 369 milionów franków, a pierwsze 8 miesięcy 1899 roku, dały 3,502.648 uncyj, czyli przeszło 301 milionów franków. Względnie do produkcji okręgu Wittwatersrand, resztę kopalń Transwaalu, drugorzędne zajmuje tylko miejsce, ogólna bowiem ich produkcja wyniosła w miesiącu sierpniu r. b. tylko 22.599 uncyj, a w 1898 roku 260.000 uncyj. Dodając powyższe sumy, otrzymamy jako całkowitą produkcję kopalń transwaalskich, w sierpniu 1899 r. 41,461.288 franków, zaś w 1898 r. 4,555.009 uncyj, przedstawiających wartość 391,730 000 franków.

Cała ta produkcja rozdziela się pomiędzy setkę towarzystw i kopalń, z których wiele, bardzo niedawno zawiązanych, zaledwie przystąpiło do róbót i niewątpliwie znacznie rozszerzy swą produkcję, o ile tylko zamieszanie, spowodowane wojną, nie stanie na przeszkodzie. Oczywiście, że w przedsiębiorstwach tego rodzaju, podobnie jak i w innych przemysłowych, a może nawet w wyższym stopniu, znaczną przewagę i największą pewność stałych zysków, posiadają wielkie stowarzyszenia, rozporządzające znacznymi kapitałami, mogą one bowiem z jednej strony zapewnić sobie posiadanie najbogatszych pokładów, z drugiej strony zastosować machiny i urządzenia dla innych niedostępne. Wreszcie, koszta zarządu i eksploatacji w wielkich przedsiębiorstwach, są znacznie mniejsze. Nic też dziwnego, że potworzyły się potężne trusty, czyli syndykaty, które zdołały opanować najbogatsze kopalnie i prócz tego obszerne przestrzenie, wcale jeszcze nieeksploatowane i zapewniające im możność rozwoju w przyszłości. Najważniejsze z tych trustów są: Rand Mines, East Rand i Consolidated Goldfields. Największą produkcję w miesiącu sierpniu r. b. osiągnęły kopalnie: Simmer and Jack 22.460 uncyj, czyli 1,932.560 franków, Robinson 19.899 uncyj czyli 1,710.454 franki, Rose Deep. 17.024 uncyj, wartości 1.464.064 franki itd.

Największy czysty zysk w miesiącu sierpniu dała kopalnia Robinson w sumie 42.000 funtów szterlingów, czyli prawie 500.000 zł.

Zatrzymani w swym pochodzie zdobywczym przez rzeczpospolite Transwaalu i Oranje, anglicy nie dali za wygrane, lecz pozostawiwszy chwilowo na boku te dwa nie wielkie kraiki, zajęli na zachód od nich olbrzymie przestrzenie krajów Griqua i Bechuan, dążąc ciągle na północ do krainy wielkich jezior środkowo afrykańskich. Sławny awanturnik angielski, Cecyl Rhodes, na północ od Transwaalu, zajął kraje Matabelów i Mashona i utworzył nową kolonię, nazwaną od jego nazwiska Rhodesia, główne miasto której, Bulawayo, położone pod 20 stopniem szerokości południowej, połączone już obecnie z kolonją przylądka Dobrej Nadziei. Tak więc, obecnie drogą żelazną, prócz wązkiego pasu portugalskiego Natalu na wschodzie, Transwaal ze wszystkich stron otoczony jest posiadłościami angielskiemi. Rhodesia ma podobno równie obfitować w złoto, jak Transwaal i kilka towarzystw eksploatujących pokłady już powstało, ale zupełny prawie brak rąk i trudność dostawy maszyn, opóźnia ich rozwój.

Ale Rhodesia, to jeden tylko etap na drodze do owładnienia Afryki przez anglików, którzy z wytrwałością i konsekwencją dążą do przeprowadzenia drogi żelaznej przez całą długość afrykańskiego lądu, do Egiptu i Aleksandrji, aby opanowawszy przyległe do tej kolei kraje, wzmocnić swoje stanowisko i nie pozwolić wyprzeć się z Egiptu, nie dać sobie wydrzeć kanału Suezkiego, tego klucza Indyj. *St. D.*



Hr. Elemer Lonyay,

narzeczony arcyksiężnej Stefanji, wdowy po arcyksięciu Rudolfie, następcy austro-węgierskiego tronu.

Naszyjnik brylantowy.

Nowela

Guy de Monpasanta.

Przekład z francuskiego.

Wł. Str.

Ciąg dalszy. Patrz Nr. 4).

Dzień przyjęcia u ministra nadszedł nareszcie.

Pani Loisel miała wielkie powodzenie. Była najpiękniejszą ze wszystkich — szykowna, wdzięczna, uśmiechnięta, przepełniona radością. Mężczyźni oglądali się za nią, dowiadywali się o jej nazwisko, starali się być przedstawionymi. Wszyscy urzędnicy gabinetu ubiegali się o tańczenie z nią. Minister nawet ją zauważył.

Tańczyła z uniesieniem, z przejęciem — upojona rozkoszą zabawy, nie myśląc o niczem więcej, wśród tryumfu swej piękności, wśród chwały swego powodzenia, wśród pewnego rodzaju obłoku szczęścia, utworzonego z tych wszystkich hołdów, z powszechnego podziwu, z tych wszystkich pożądań obudzonych, z tego zwycięztwa zupełnego, a tak miłego dla kobiecego serca.

Opuściła salę balową około czwartej rano. Mąż jej spał od północy w opuszczonym saloniku, wraz z trzema innymi panami, których żony bawiły się doskonale — zarzucił jej na ramiona okrycie przyniesione z domu — pojedyńczy płaszczyk codzienny, którego skromność nie zgadzała się z elegancją balowej tualety. Uczuła to i chciała uciec, aby nie być widzianą przez inne panie, które wdziewały kosztowne futra. Loisel zatrzymał ją.

— Zaczekajże — rzekł — zaziębisz się. Zawołam fiakra. Nie słuchała go i zbiegła szybko ze schodów. Gdy się znaleźli na ulicy, nie było w pobliżu żadnego powozu wolnego — musieli więc szukać, wołając na woźniców przejeżdżających. Schodzili ku Sekwanie zniecierpliwieni, drżący z zimna. W końcu znaleźli na quai jeden z tych starych ekwipaży nocnych, które pokazują się na ulicach Paryża dopiero za nadejściem nocy, jakby się w dzień wstydziły swej mizernej powierzchowności. Odwiózł ich aż na ulicę Męczennikków, gdzie weszli do swego mieszkania.

Dla niej skończyło się już wszystko. A on myślał o tem, że o dziesiątej będzie musiał być w biurze. Zdjęła płaszcz, którym miała okryte ramiona przed lustrem, aby raz jeszcze ujrzeć się w swej chwale. Nagle, krzyk rozdzierający wyrwał się z jej piersi... Nie miała naszyjnika!..

Mąż na pół już rozebrany zapytał:

— Co ci się stało? —

— Ja... ja... ja niemam naszyjnika pani Forestier!

Zerwał się przerażony:

— Co?... jak?!... To nie może być!

I szukali po kieszeniach — wszędzie — nic nie znaleźli!

— Czy jesteś pewną — zapytał — że miałaś go na sobie opuszczając salę balową?

— Tak, dotykałam go w przedsionku ministerjum.

— Przecież, gdyby ci był zginął na ulicy, bylibyśmy słyszeli. Prawdopodobnie został w fiakrze.

— Tak, to możebne. A czy zapamiętałeś numer?

— Nie. A ty nie patrzyłaś?

— Nie.

Spoglądali na siebie przygnębieni. W końcu Loisel ubrał się na nowo.

— Idę — rzekł — przeszukać drogę, którą odbyliśmy piechotą — może uda mi się znaleźć. Wyszedł. Ona pozostała w sukni wieczornej, na stołku, bez siły, aby się położyć, bez myśli.

Mąż powrócił około siódmej. Nie znalazł nic...

Udał się do prefektury policji, do redakcyj dzienników dla uczynienia obietnicy nagrody, do towarzystw utrzymujących fiakry, słowem wszędzie, dokąd jakiś cień nadziei go popychał.

Czekała dzień cały w tym samym stanie osłupienia, wobec tak strasznej dla nich szkody.

Loisel powrócił wieczorem z twarzą skrzywioną. Nie znalazł nic.

— Trzeba — rzekł — napisać do twej przyjaciółki, że zepsułaś zameczek naszyjnika i dałaś go do naprawy. Przez to uzyskany więcej czasu do poszukiwań.

Napisała za jego dyktandem.

(Dokończenie nastąpi).

ŁZA.

Pan Józef pamiętał lepsze czasy, zanim został kancelistą. Kto spojrzał na jego zwiędłą twarz, z zastygłym wyrazem apatji, z oczyma zaczerwienionemi od ślęczenia nad zapisanym papierem, nie domyślał się, że pod tą głową przechodziły burze, a w tej piersi, opiętej w wyszarzany surdut, gasły niegdyś jedna po drugiej nadzieje. Tak, niegdyś, byli tam owi goście, o skrzydłach promiennych i tęczowych, lotni i nieuchwytni jak lotnym i nieuchwytnym jest strumień życia. Zjawili się z dźwiękiem harmonijnej muzyki niebiańskich obietnic, budowali czarodziejskie gmachy i trzęśli złoty pył złudzeń na szarą dziś przędzę; potem niknąć poczęli, a z ciemnych otchłani wypełzała tymczasem zmora zawodów, o nietoperzowych skrzydłach i głowie Gorgony. I kamieniało drgające serce w opustoszałej piersi.

Mówili znajomi, że pan Józef „się“ zmarnował, on mówił, że zmarnowały go warunki życia. Kto miał rację, nie chcemy rozstrzygać, dość, że stopniowo z „pełnego obietnic młodzieńca“, stała się maszyna do kopiowania, maszyna pełna już tylko kaligrafowanych zapędów, zaokrąglająca wytwornie wielkie D, lub faliście i wężowo kreśląca wielkie S. Z dawnem życiem łączył go tylko syn, który wychowywał się w szkołach pod opieką ciotki, pan Józef bowiem był wdowcem.

Trzydzieści rubli, które otrzymywał regularnie co pierwszego za siedm godzin codziennej pracy, wystarczały mu zupełnie na opłacenie izdebki na Piwnej, obiadów „pod Papugą“ i nawet czarnej kawy z gazetą na Podwalu. Ale pan Józef miał jedną miłość głęboką i jedną ambicję wielką w wystygłej piersi — syna. Syn miał spełnić te nadzieje, które pierzchły i frunęły w przestrzeń przed ojcem. Aby jednak cel ten osiągnąć, trzeba było syna kształcić, kształcić wysoko i długo, a wykształcenie kosztuje. Ciotka nie wiele dopomódz mogła, pensja zaś 30 rubli nie wystarczała.

Lecz pan Józef, na szczęście, słynął jako wyborny i punktualny kopista. Jego wykwintne i wyraźne pismo zyskiwało mu zwolenników, a punktualność licznych klientów. Klienci owi składali się w znacznej części z literatów, którzy dawali mu przepisywać powieści do druku, czasami adwokatów, a wreszcie nawet i reżyserja teatrów ekspedjowała nieraz przez woźnego na Piwną egzemplarz do przekopiowania, lub do rozpisania ról. Z tego źródła pan Józef miał pewien dochód, pozwalający mu łożyć na edukację syna.

Właśnie, któregoś dnia jesiennego, pan Józef wrócił już o późnym zmierzchu do swej izdebki na Piwnej. Zapalił lampę, odkorkował atrament, obejrzał pióro i spróbował go na paznogciu, przygotował papier, linię, a potem, zasiadłszy na krześle, przed stolikiem, sięgnął po jakiś manuskrypt.

Pan Józef miał zwyczaj spełniać swą pracę kaligraficznie, z całą systematycznością, a nawet artyzmem. Pisząc, lubował się w wykwintnych formach liter i porównywał je do hieroglifów w rękopisie.

— A też to literaci piszą! niech ich!... To nie litery, to kulasy, to kropki, przecinki, bez formy i znaczenia. Ciekawy jestem, czyby tak który odczytał siebie np. po miesiącu? Tu można oczy zgubić.

Pan Józef jednak z czasem nabrał dużej wprawy w odcyfrowywaniu rękopisów. Czytał je biegle, ale tylko w miarę kopiowania i wyłącznie do tego celu. Czytał zaś oddzielne frazesy i najczęściej nie znał całości. Gdyby następnie spotkał się n. p. z powieścią przez siebie przekopiowaną, w druku, mógłby śmiało powiedzieć:

— Przepisywałem to, ale nie czytałem.

Istotnie, pan Józef, pochłonięty dokładnością kopji, przypisywał, ale nie czytał. Dziś jednak czuł się jakoś niezwykle znużony i jakby senny. Nie szła mu robota, że zaś nie była pilna, więc obiecywał sobie, że ją odłoży i wcześnie spać pójdzie. Ziewnął też przeciągle, uczuwając przedsmak snu i wstawszy od stolika, zaczął przy maszynce majstrować około przyrządzenia wieczornego posiłku do poduszki.

Nagle zapukano do drzwi i ukazała się postać woźnego teatralnego.

— Moje uszanowanie panu! Pan reżyser przyseła egzemplarz do przepisania.

— Dobrze, dobrze. Położcie tam na stoliku, bo mam ręce powalane. A na kiedy?

— O, to pilne! Musi być koniecznie na jutro rano.

Pan Józef rękami rozwiódł.

— Bójcie się Boga! To robota na całą noc.

— Ja tam nic nie wiem. Pan reżyser powiedział, że jak pan Józef się nie zgodzi, to żebym zaniósł do pana Hilarego.

I woźny sięgnął znów po zwitek papierów.

— No, to już przepiszę, przepiszę!.. A to skaranie Boskie z takim pospiechem.

— Więc będzie na rano?

— Będzie, będzie. Możecie przyjść.

Woźny wyszedł, a pan Józef obtarłszy ręce, wziął rękopis: Był to jakiś dramat piękcioaktowy p. t „Zmarnowany“. Robota, akurat na całą noc. Co prawda, pan Józef niejedną noc przepędził nad kopiowaniem, ale dziś wyjątkowo czuł się nieusposobionym. Teraz nawet, jak na złość, gdy widział pracę przed sobą, senność ogarniała go coraz większa. Co tu robić? Możeby spróbować czarnej kawy? To podnieca i sen rozpędza.

Pan Józef wziął kubek i powędrował do stróżki, dając jej polecenie, aby przyniosła mu kawy czarnej z poblizkiej kawiarni.

— Tylko proście, Maciejowa, o mocną! — upominał.

— Juści, to się wie, jak czarna, to i mocna.

Za chwilę znów pan Józef siedział przed stolikiem. Obok atramentu czarnego, stała tu jeszcze flaszka z atramentem czerwonym do podkreślania nawiasów i wskazówek, leżały linie, scyzoryk do podskrobywania, kilka rozmaitej wielkości ryg, a tuż obok stał na maszynce kubek z czarną kawą.

Z pierwszym aktem poszło jako tako. Litery szły równo i wykwintnie, szeregując się na stronnicach. Znużenie jednak ciężyło nad panem Józefem. Popijał więc czarną kawę i kopcił papierosy, wstając co pewien czas dla rozruszania.

W ten sposób ubił wreszcie akt drugi i trzeci. Na zegarze było już dawno po północy, w pokoju unosiły się kłęby dymu i pan Józef wstawał coraz częściej. Przeklęte znużenie, zkąd ono się wzięło? Kopiując, wobec opanowującej go senności, pan Józef jeszcze mniej rozumiał, niż zwykle i oprócz nazwisk osób, powtarzanych nieustannie, nic więcej z całego dramatu nie pamiętał. Zresztą, co go tu obchodziło! Co mu tam po pisanych dramatach? Alboż to nie miał ich sam w życiu? Naprzykład, choćby śmierć ojca i matki, których tak wcześnie stracił... Chodził wtedy do szkół i był celującym uczniem. „Antałek“ (tak nazywali poczciwego nauczyciela matematyki) gładził go nieraz po płowej czuprynie i mówił:

— Józek, ucz się, bo masz fenomenalne zdolności.

Aż nagle przyszła śmierć ojca. Była to pierwsza śmierć, którą widział, taka straszna, taka blada, zimna...

Ojciec był wszystkiem w domu, wszystko też z jego śmiercią się zmieniło. Matka wysiłkiem starała się zadość uczynić swym obowiązkom i kształciła go dalej. On wtedy nie odgadywał, ani umiał ocenić tych wysiłków. Zdawało mu się tylko, że matka jakoś bladła i szczuplała. Ale to nie zwracało jego uwagi. Potem zaczął słyszeć kaszel, potem ciotka sprowadziła się do ich mieszkania, a matka poszła do łóżka — aż wreszcie raz, gdy wrócił ze szkoły, w głowach matki zastał gromnicę...

Zabrała go ciotka. Była to stara panna, żyjąca z bardzo skromnych funduszów. O dalszej nauce trudno było marzyć i należało pomyśleć o pracy.

Chłopiec „o fenomenalnych zdolnościach“ został puszczony samopas. Nie wyniósłszy nic ze szkoły ogólnej, coby mu pożyteczną pracę zapewnić mogło, siódmoklasista próbował tego i owego. Miał zdolność do rysunków, więc był u jakiegoś sztycharza, potem pracował u geometry, potem usiłował zostać aktorem, a nawet próbował pióra. We wszystkiem okazywał pewne zdolności, ale brakło mu gruntowniejszego wykształcenia.

Chciał uzupełniać braki, ale nie miał kierunku i nie miał wytrwałości. Robił wysiłki bez systemu i ładu, a potem ustał.

Wreszcie, w epoce, kiedy młode serce najgłośniej przemawia, poznał Zosię...

Pan Józef odrzucił się na poręcz krzesła. Opanowywała go nietylko senność, ale i jakieś rozmarzenie. Nie wiedział prawie, co pisze. Litery zaczęły mu się mylić i przemieniać, kształty ich wyginały się fantastycznie, a kilka razy nieposłuszna ręka zrobiła sztrych fatalny, lub zakręt zbyteczny. Wypadało później podskrobywać.

Kopista podniósł się ociężale i przemył sobie oczy zimną wodą, poczem, jednym haustem wypił czarną kawę. To go trochę orzeźwiło, ale i podnieciło nerwowo. Zaczął znów pisać, ale rozmarzenie krążyło koło niego, ukryte w obłoku dymu, zaglądające do czarnych okien poddasza i promieniejące w żółtem świetle lampy. Pan Józef, bezwiednie pochylił się nad manuskryptem i zaczął odczytywać frazes, na którym się zatrzymał.

„Czy pamiętasz — prawił bohater dramatu — ten dzień cudny? Słońce wtedy świeciło tak jasno, błękit był taki czysty, a nam było tak cicho i dobrze. I tylko serca trzepotały się w piersi, lękliwe i drżące, jak spłoszone ptaszęta. Czy pamiętasz ten dzień, pani?“

Pan Józef wsparł się na stale. O, i on pamięta ten dzień. Było im tak cicho i tak dobrze. Ona była biedna, bardzo biedna, ale to nic! On nie stracił jeszcze nadziei i wiary w przyszłość. Jeszcze budował zamki na owych „fenomenalnych znolnościach“, które w nim odkrywano i które czuł w so-

bie w spowiciu. Zdawało się nawet, że się znów wybije. Zaczął pracować u adwokata i przygotowywał się do egzaminu. Potem wstąpi na uniwersytet, potem otworzy kancelarję i będzie „panem mecenasem“. Tymczasem mogą się pobrać z Zosią, by wspólnie pracować dla przyszłości.

I pobrali się, a z tego związku rychło urodziła się — nędza. Rozpoczęła się walka o życie i pogoń za zarobkiem na kęs codziennego chleba. On już coraz rzadziej zrywał się z obroży i coraz niżej pełzał przy ziemi. Nie było mowy o egzaminie, nie było mowy o uniwersytecie, został kancelistą. Kopiowali papiery, i on, i żona, a gdy w domu stanęła kołyska, gdy zaczęły się choroby, runęły do szczętu tęczowe gmachy. Zwykła historja, jedna z wielu...

Pan Józef zmrużył oczy i widział, jak im umierały dzieci, jak żona gasła w walce z nędzą i jak wreszcie zmarła, zostawiając mu syna. Przypomniał sobie rozpacz swoją szaloną i widział, jak z tej rozpaczy wyszedł już nie człowiekiem, ale zupełną maszyną do kopiowania. Przestał myśleć i tylko produkował litery, jak najdokładniejszy Remington. Na klawiszach tej maszyny wygrywała konieczność i silniejsza jeszcze — jedyna ocalała z rozbicia ambicja — chęć wykształcenia syna. Po za tem, pan Józef miał tylko ambicję maszyny: systematyczność, punktualność i porządek. Robota jego musiała być dokładna, czysta i równa — prawdziwa robota maszynowa.

To mu przypominało obowiązek. Wstrząsnął się i przetarł oczy. Wziął pióro, lecz je zaraz położył. Jakaś prawdziwie fatalna noc! Tyle ich spędził nad przepisywaniem i nigdy mu się to nie zdarzyło. Oto znów zaczął bezwiednie przerzucać karty rękopisu — i rzecz niezwykła — czytać! Doprawdy, ładnie pisze ten autor. Jaki to zwrot wzruszający:

„Widzisz pani, to życie biło tak silnie, grało, jak fontanna, tylu tęczowemi barwami, rozsnuwało śnieżne welony mgły i sypało perłami marzeń, a dziś — mętną i szarą pianą spływa w bezdenną otchłań... To życie zmarnowanego“...

A prawda! Nawet tytuł dramatu „Zmarnowany“. On tego na razie nie spostrzegł.

...„A dziś mętną i szarą pianą spływa w bezdenną otchłań“...

Pan Józef pochylił się nad rozłożonymi papierami, zadumał się i nagle zaczerwienione jego powieki jakoś dziwnie spęczniały, a po policzkach na papier potoczyła się i spadła gruba łza.

Pan Józef wyprostował się nagle i spojrzał.

Na przepisanej kopji, na pięknie wyprowadzonej z całym rynsztunkiem zakrętasów literze P, rozpływała się się teraz błękitno-czarniawa plama, niby kleks ogromny. Piękna historja — przemówiła w nim ambicja maszyny — to honor kopisty tak splamiony. A zdarzyło mu się to po raz pierwszy w tę noc fatalną. Przeklęte rozmarzenie!

I pan Józef, zupełnie rozbudzony, pochwycił za bibułkę, aby wysuszyć plamę, a potem scyzorykiem i gumą wyskrobać jej ślady. Plama znikła, a gdy paznogciem wypolerował miejsce podskrobane i uzupełnił wykrętasy, nic nie zdradzało fatalnego wypadku.

Kopista odetchnął i czuł się rzeźwiejszym. Ujął znów pióro i machinalnie po dawnemu zaczął przepisywać.

Gdy w dwie godziny potem, okno poddasza jęło silnie błękitnieć, a lampa coraz mocniej żółknieć, pan Józef, pod ostatnim piątym aktem, podkreślał czerwoną linią uroczyste słowo:

„Koniec“.

E. B.

WESOŁY KURJEREK.



W 25-cio letnią rocznicę.

Czy pamiętasz... jasnowłosa,
W gaju srebrny strumień dźwięczał,
Wzbił się księżyc na niebiosa,
A jam u stóp twoich klęczał...
I całując rękę drobną,
Patrząc w modre twoje oczy,
Śniłem przyszłość w szczęście zdobną,
Co przed nami się roztoczy...

Tak szumiały słodko zdroje...
Czy opisać podobieństwo !?
. . . .
A wówczas nas, »głupców dwoje«.
Los skazywał na małżeństwo.

Nie ma kwiatów na mej drodze,
Lichom odzian, licho obut...
Lecz winszuj mi: dziś obchodzę
Jubileusz ciężkich robót.



Przegląd polityczny.

Zieleni się, zieleni,
Dyplomacja w jesieni,
Gdy ciepły wiatr zawieje,
Dyplomacja zczenieje.

Czysta krew.

Gwałtu! Gwałtu! co się dzieje!
Los dziś sobie drwi!
Wywłokami teraz jeżdżą
Ludzie czystej krwi.
A ci, którzy nie tak dawno
Otwierali drzwi,
Dziś w powozach mają konie
Najczyściejszej krwi.

Ogłoszenie.

Z powodu interesów famillijnych, są do odstąpienia w każdym czasie, dwa łóżka orzechowe.

Jak pójdzie tak dalej — kto wie!...

Niezwykły *postęp* dzisiaj się wszak budzi
I mechanika święci wielkie gody:
Coraz mniej mamy *stąpających* ludzi,
Za to rowery są i *samochody*.

Sapią przyrządów lokomocji cielska,
Coraz mniej pieszych widać w ludzkim tłumie;
Moc w nogach wzięła choroba angielska,
Człek umie jeździć dziś — chodzić nie umie.

Więc wynalazczość szczytne sprawia dzieła,
Stwarzając przyrząd, co za człeka działa:
Gdy mu progresu siła nogi wzięła,
Maszyna pełni obozwiązki ciała.

Kto wie, czy z czasem za jakie sto latek,
Od chwili, gdy wieszcz ten dytyramb kreśli,
Ojcowie dla swych ukochanych dziatek
Nie zrobią jakich sztucznych *samomyśli*.

Wówczas, potomność będzie mogła przecie
Rozwijać barwnie lotne myśli swoje
I flantropem będzie nawet dziecię,
Przyrząd zastąpi mu mózgowe zwoje...

Także płodozmian.

— Dla czego ten X., zamiast gospodarować u siebie na wsi, prawie przez cały rok siedzi we Lwowie?

— Ależ człowieku, on pracuje nad płodozmianem?...

— Jakto, tu w mieście?

— A no tak — po ostrygach uprawia Chablis, a po szczupaku — węgrzyna.

Między lekarzami.

— Powinszować koledze szczeliwej ręki. — Co kolega robi, że jego pacjenci tak prędko przychodzą do zdrowia.

— Nic nie robię...

Ze wspomnień aktora.

Było to w pewnem mieście w Prusach Zachodnich, roku pańskiego 1893. Teatr poznański dawał tu po raz pierwszy swoje przedstawienia. Z powodu braku miejsca w hotelu, większą część artystów ulokowano prywatnie, a pomiędzy nimi i ja się znajdowałem. Po przedstawieniu »Barbary Radziwiłłównej«, alumn seminarjum pelplińskiego, zaproponował mi gościnę u siebie. Na drugi dzień, byłem poproszony do salonu i przedstawiony paniom.

— Pan to szczęśliwy — rzecze jedna — bo tak jeździ sobie z komedjami, jak ptak po świecie; to musi być bardzo pięknie, tak dużo widzieć. O! bo i ja beła w Berlinie i widziała takie dzikie ludzie, takie chineze, co to mieli takie długie warkocze, aż po same piente... Ale to piękny kawałek ta »Barbara«! Kto to beł, to jest, kto pokazował?

Tu wymieniła nazwisko artystki, grającej rolę tytułową.

— A to nie musi być głupia, kiedy tak mądrze gadała...

— Nic dziwnego, szanowna pani, bo to była nauczycielka — odpowiedziałem.

— O Jezu! — wykrzyknęła druga — beła nauczycielko i poszła do komedjantów? O Jezu! — Pewno i pan nie musi być bele kto? co?...

Tu rozmowa się urwała, seminarzysta podszedł do fortepjanu i jednym palcem zaczął brzdąkać.

— Fortepjan nam się zepsuł, a nie ma komu go naciągnąć — przemówił — czyby pomiędzy panami nie znalazł się jaki stroiciel?

Wiedziałem już, gdzie jestem i z kim mam do czynienia, więc odpowiedziałem, że wiem, jak się to robi. Natychmiast zaczęto na mnie nalegać, żebym się zabrał do strojenia, do czego otrzymałem siekierę i obcążki. Podczas »strojenia« wypytywała mię jedna z pań, czy jestem żonatym i czy w ogóle komedjanci się żenią, na co druga odrzekła jej z pogardą:

— Ale gdzieżtam! oni tak... ze sobą...

Siekierą wyjąłem klawiaturę, pokłady kurzu zostały usunięte, obcęgami wzmocniłem trochę kołki w walcu, naciągnąłem struny, by niezbyt brzęczały i na tak »wystrojonym« instrumencie, zagrałem »Boże coś Polskę!« i poloneza Ogińskiego.

Zachwyt pań nie miał granic. Żałowały, że jestem »komedjantem« i jednogłośnie zaopiniowały, że mógłbym być śmiało organistą przy farze.

Nie dawno otrzymałem list z Poznania, w którym przyjaciel mi donosi, że w domu państwa X., w mieście Y., na Kaszubach, wspominają jeszcze, jako curiosum o pewnym młodym człowieku, który mogąc być organistą, został — komedjantem!

Przybyłło.

Pytania i odpowiedzi.

Z czego są podobne niektóre redakcje, do niektórych restauracyj.

Z tego, że bardzo często dają odgrzewane rzeczy.

* * *

Co to jest kwestja łatwego i taniego kredytu?

Jest to zagadka, której nigdy nikt nie rozwiąże.

Myśl myśliciela.

Żyć trudno — rzekł filozof — lecz na moją biedę
Wyznaję, że najtrudniej dziś jest żyć na kredę.

W sądzie gminnyn.

Sędzia. Za obelgi słowne i czynne, skazany zostałeś na ośm dni kozy. Czy się kontentujesz tym wyrokiem?

Skazany. Z wyroku, proszę prześwietnego sądu, tom kontent, jeno z kozy, to nie.

Korzystna posada.

Wdowa po wydawcy, poszukuje pracowitego korektora.

Iskierki.

— Kogo wolisz — ubogiego poetę, czy ubogiego malarza?

— Jeżeli mama pozwoli wybierać, to wolę ubogiego kapitalistę.

— Trzeba przyznać, że ten Y., to świetnie reprezentuje nasz przemysł krajowy.

— A tak, rzeczywiście, szkoda tylko wielka, że ma na sobie buty z Berlina, kapelusz z Paryża, palto z Wiednia, a bieliznę z Amsterdamu.

Żona. Widziesz mój mężu — taki okropny dramat i to po czterech latach pożycia. Ja z tobą żyję już trzydzieści sześć lat i jeszczebym się nie odważyła cię zdradzić.

Mąż. W tym wieku! Wierzę ci...

Żona. Właśnie, sztuka być wierną w tym wieku niewiary.

Zaproszenie do przedpłaty na „Ziemianina“.

Ziemianin, Tygodnik rolniczo-przemysłowy, wychodzi co sobotę w Poznaniu w formacie 1—1½ wielkiego arkusza druku, często z rycinami. Pismo to poświęcone sprawom ekonomicznym wiejskim, wszelkim gałęziom rolnictwa i przemysłu rolniczego, oraz hodowli inwentarza żywego.

Przy „Ziemianinie“ wychodzą trzy *bezpłatne* dodatki:

1) *Rocznik Centr. Tow. Gosp.* zawierający wszelkie rozprawy i wykłady wygłoszone na obradach wydziałowych i sesjach plenarnych Walnego Zebrania Centr. Tow. Gosp.

2) *Przegląd Gorzelniczy*, pismo miesięczne.

3) *Ogród, jako źródło dochodu*.

„Ziemianin“ kosztuje **6** zł. rocznie, półrocznie **3** zł. Prenumeratę najlepiej przesłać przekazem pocztowym wprost na ręce Redakcji w Poznaniu, *Półwiejska 5.*, wtedy odbiera się pismo pod opaską. Ale można także zapisywać przez pocztę. (14-3-2)

Redakcja „Ziemianina“ w Poznaniu.
Półwiejska 5.

Skład papieru
E. MIKOŁAJCZAK
Lwów, Łyczakowska 1.

poleca: wszelkie przybory do pisania i rysowania, oraz rekwizyta szkolne, kancelaryjne, ramy do obrazów, oleodruki i obrazy, po najprzystępniejszych cenach. **Kancelarjom, pp. nauczycielom i studentom znaczny opust.**
(7481-3-3)



Przeniosłem mój
Instytut dentystyczny

przy ul. Hetmańskiej l. 6 **na ul. Kopernika l. 4.** naprzeciwko Wgo. Mikolasza i wykonywam: plombowanie i rwanie bez bólu, stuczne zęby sposobem wiedeńskim po zniżonej cenie. Naprawę złamanych szczęk przyjmuję i przesełam pocztą. Nadto leczę choroby jamy ustnej, nosa, gardła i uszów. Instytut otwarty przez cały dzień. (7-10-4)

Dr. dentysta: M. Wiktor.



Cukiernia i kawiarnia
HENRYKA BANASIA
w Białej koło Bielska
Josefsplatz Nr. 1.

zaopatrzona w pisma krajowe i zagraniczne, poleca napoje i chłodniki w najlepszym gatunku.

Doskonałe pieczywa i cukierki znajdują się zawsze na składzie.
(7478-3-3).

Magazyn ubiorów męskich
Jana Lerskiego
we Lwowie, plac Bernardyński l. 3.

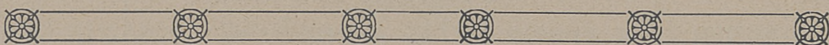
przyjmuje wszelkie roboty, w zakres krawiectwa wchodzące, tak z własnych, jak i z powierzonych materjałów. Zamówienia uskuteczniają się według najnowszej mody, starannie i w najkrótszym czasie. Ceny niskie.
(7451-3-3)

Leon Heszeles
we Lwowie.
Skład i wypożyczalnia fortepianów i pianin, tak nowych, jakoteż i przegranych.
Najtańsze ceny. Spłata może być na raty.
Skład z ulicy Trzeciego Maja 2. z dniem 1. października, znajduje się we własnym domu:
ulica Sykstuska 11 (Pod Szopenem).
[9-13-4]

Nowo otworzony
handel korzenny, delikatesów i win, pod firmą
JÓZEF FLAKOWICZ,
Akademicka 28, (w domu Wp. Richtmana)

poleca po cenach niskich, świeży towar korzenny, owoce, wina, wódki, likiery, oraz wszelkie delikatesy krajowe i zagraniczne.

POKÓJ DO ŚNIADAŃ
Przekąski zimne i gorące.
Wyśmienita kuchnia (15-6-4)
Piwo zawsze świeże.



Nowa gałęź przemysłu krajowego.

Papier c. k. uprzywilejowanej fabryki bibułek cygaretowych w Sassowie,
istniejącej od roku 1865 przerabia
na bibułki w książeczkach i tutki cygaretowe
wyłącznie znana firma
S. Wierusz NIEMOJOWSKI
WE LWOWIE

Fabryka Sassowska wysyła dotychczas bibułki jedynie tylko za granicę wyrobami swoimi zyskała rozgłos światowy.

Oryginalne papierosy importowe z Egiptu i Turcji wyrabiane są przeważnie **z Bibułki Sassowskiej**. Krocie idą za granicę, a obcy bogacą się naszym groszem, zasypując nas lichymi swoimi wyrobami.

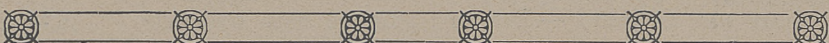
Nie bogaćmy zagranicznych przemysłowców, kupujmy odtąd bibułki i tutki cygaretowe z papieru Sassowskiego wyrobu,

S. Wierusz Niemojowskiego we Lwowie.

Bibułki i tutki cygaretowe z papieru **Sassowskiego** wyrobu S. Wierusz Niemojowskiego, są do nabycia we wszystkich handlach i c. k. trafikach, o ileby zaś takowych nie było, uprasza się odnieść o nie wprost do fabryki. Książeczki wyrabiane są w kilku gatunkach i formatach w cenie po 1, 2, 5, i 10 ct. za książeczkę, tutki zaś od 12 do 18 ct. za 100 sztuk. Stwarzam nową gałęź przemysłu krajowego, która dostarczyć może zarobku setkom naszych robotników, a powodzenie i rozwój tego przedsiębiorstwa opieram na poparciu szerszego ogółu.

☞ Każda etykieta zaopatrzona jest firmą **S. W. Niemojowski, oraz napisem Sassów.** (7340-12-12)

S. Wierusz Niemojowski Lwów, Wałowa 25.



Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że
otworzyłem w Rynku l. 40.
wyrąb i sprzedaż mięsa
☞ ***wołowego i cielęcego*** ☜

Staraniem mojem będzie Szanowną P. T. Publiczność pod każdym względem zadowolnić. O liczne odwiedziny uprzejmie upraszam.

Z głębokim szacunkiem
(2-2-2) *Władysław Mokrzycki.*

Handel kolonialny
Ludwika Jasińskiego
w Truskawcu

poleca najprzedniejsze towary i delikatesy, wina węgierskie, austrjackie i inne, koniaki, likiery, czekoladę, herbatę, kawę itp. Zlecenia tak w miejscu, jak i z prowincji załatwia szybko i rzetelnie. — Ceny umiarkowane.
(7477-2-2).

Med. Dr. Rubin Bierer,
rozpoczął
swą długoletnią praktykę lekarską
we Lwowie
i ordynuje od 2—3 godz.

Choroby gardła i organów płciowych według własnego systemu i od 6—7 wieczorem, tymczasowo **w HOTELU BELLE-VUE.**

Rachityczne bóle leczy mechano — terapeutycznie, według własnego systemu. (29—4—2)

Najlepszą masę francuską. Najlepsze lakiery do podłóg. Najlepsze masy woskowe. Najlepsze farby, pokosty, lakiery i pendzle poleca:

W. CZOPP
najstarszy galicyjski skład
farb pokostow i lakierów.
We Lwowie ul. Żółkiewska 2.
Rok założenia 1843.
[27-4-3]

Mam zaszczyt donieść P. T. właścicielom dóbr i w ogóle PP. rolnikom, iż otworzyłem w Rzeszowie, na Nowem Mieście w Rynku

Skład fabryczny
maszyn rolniczych,
oraz narzędzi gospodarczych
z pierwszej
Prościejowskiej fabryki maszyn
F. Wichterlego.

Posiadając poprzednio składy maszyn w Tarnowie i w Bochni i mając stosunki także z innemi fabrykami, nabyłem doświadczenia, iż jedynie wyroby I. Prościejowskiej fabryki są polecenia godne, gdyż odznaczają się dokładnym wyrobem, prostą konstrukcją i najnowszemi ulepszeniami, a nadto cenami umiarkowanemi i dlatego te wyroby z całą sumiennością polecić mogę.

W składzie mym posiadam także liczny wybór wszelkich części zapasowych, nożów z prawdziwej stali angielskiej różnego gatunku, także części składowe maszyn wyrobu innych fabryk, po najtańszych cenach i ośmielam się radzić każdemu, części zapasowe i noże tylko odemnie sprowadzać, gdyż przez użycie źle dopasowanych części, lub lichych nożów, działalność maszyny znacznie się zmniejsza.

Pozwalając sobie Szan. P. T. właścicieli dóbr, dzierżawców i gospodarzy uprzejmie prosić o łaskawe zaszczycenie mnie swemi zamówieniami, zapewniam szybką i rzetelną obsługę.

(7469-2-1). Z głębokiem poważaniem
Szymon Kapellner.
w Rzeszowie.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Teatr. Do *plusów* działalności obecnej lwowskiej dyrekcji zapisać należy wznawianie dzieł dawniejszego repertuaru, który ni ztąd, ni z owąd, nazywają »klasycznym«, ale który bądź, co bądź, jest literacko-artystycznym podkładem dla każdej większej sceny. Do takiego podkładu należą przedewszystkiem dzieła Fredry (ojca) — nierównej wprawdzie, wartości — ale na ogół posiadające tak zwaną trwałość literacką. Wznowiono więc w ubiegłą środę: *Mąż i żona* komedję w 3-ch aktach wierszem, zajmującej wśród dzieł Fredry podrzędne miejsce o dość monotonnej akcji, która, jednak w 3-cim akcie ożywia się i pokazuje pazury komedjopisarza z krwi i kości. Mówią, że treść do tej komedji, w której rodzaj subretki, Justysia, stanowi owoc zakazany dla męża pani domu i jej... kochanka, poczerpnął Fredro z własnych przygód życia...

Męża i żonę wystawiono u nas stylowo — postacie chodzące po scenie, jakby wyskoczyły z ram dawniejszych obrazów.

Często mówią, a wiecej jeszcze piszą, że granie sztuk Fredry (ojca) szwankuje, gdyż artyści zatracili odpowiednie tradycje aktorskie i z dzisiejszego sposobu grania trudno im się wyłamać. Jest to prawdą, ale tylko odnośnie do sztuk kontuszowych, naturalnie z pewnymi wyjątkami co do artystów — ale inne sztuki, jak np. *Mąż i żona* potrzebują tylko dobrych artystów, a już oni dadzą sobie radę, nawet i z tą »myszką«, co ją czuć w staroświeckim ubraniu salonu na scenie. Tak było z przedstawieniem u nas *Męża i żony*. Pani Zapolska doskonałą była Elwirą, a dykcja jej miękka i pieszczotliwa pełna jest wdzięku i posiada naturalnego wabika. Hrabia Wacław znalazł w p. Woleńskim dzielnego przedstawiciela nawet pod względem tradycyj autorskich. Alfred p. Wostrowskiego wzmocnił argument, że młody ten artysta, gdy zechce, a wziąwszy pod rękę pracę, chcieć powinien, ma przed sobą najpiękniejszą przyszłość. Panna Jankowska w roli sprytnej Justysi, nietylko okazuje dużo energicznego wdzięku, ale i dobrej gry obmyślanej subtelnie i cieniowanej starannie.

Tego samego dnia wznowiono bardzo dawno nie graną u nas *Nikaretę*. Jest to 1-aktowa komedja Cavallatiego, włocha, który w roku przeszłym, czy zaprzeszłym zginął w pojedynku. Treść poczerpnięta z greckich czasów — ale nie wszędzie autor umiał zachować właściwy epoce koloryt — pomimo to sztuka jest interesująca. Gruchającym miłosne treny grekiem był p. Zawadzki. Głosem, akcją — grą całą — robił wrażenie rozkochanego orła...

Pięknie gra i ślicznie wygląda w tytułowej roli p. Stachowiczowa.

Niewdzięczną rolę Protomachosa równie, jak drobniutką Karyona — grają pp. Hierowski i Walewski bardzo starannie.

Iks Ypsylon.

Operetka. Wznowiono ulubioną u nas niegdyś operetkę: *Mikado.* Wystawiono ją pysznie — z całym aparatem dekoracyjnym. Lśni się od barw słońca i światła... Panna Bohuss, zachwycająca Jum-Jum. Towarzyszki jej pp. Schuppówna i Miłowska pełne wdzięku i powabu japonki. Humoru i wesołości w bród, dostarczają go pp. Kasprowiczowa, Myszkowski, Lelewicz, Bogucki, Kiczman. P. Malawski tenorową partję Nanki-Po śpiewa ładnym, pełnym i dźwięcznym głosem.

Be.

Drużbę p. Bałucki zaprezentował nam w piątek. Jest to komedja w 3 aktach, która właściwie komedją nie jest, lecz wiązaną i tu luźną mniej więcej zabawnych obrazków przeplatanych dowcipną nie raz dygresją. Jednolitej treści niema, tylko pewna tendencja o pewnych spłowiałych, choć sympatycznych morałach podstarzałej demokracji; wygląda to i uśmiecha się do ludzi, choć ich czasem trzepnie po plecach. *Drużba* p. Bałuckiego wydaje nam się rodzajem literackiego wytchnienia dla autora, od talentu którego spodziewamy się jeszcze nie jednej dobrej komedji.

Grają u nas *Drużbę* żywo, z pomysłowością i z wyzyskaniem wszystkiego, co tylko w sztuce tkwiło. Wszyscy artyści, bez wyjątku, zasługują na uznanie, nietylko krytyki, ale i autora, bo grą swoją *Drużbie* dużo się przysługują.

Nietensam.

Na dochód szkoły ludowej w Paranie (w Brazylji) dawano w ubiegłym tygodniu składane przedstawienia z *Buntu Napierskiego* i koncertu, w którym przeważnie wzięli udział amatorowie. Dochód materjalny był znaczny, o co głównie chodziło. Amatorowie, pomiędzy którymi pięknym śpiewem wyróżniał się nie amator p. Orzelski — oczywiście, jak się to mówi, »wywiązali się« ze swego zadania — no, bo cóż mieli robić ostatecznie... Jednem słowem było wszystko ładnie, a grunt, że szkoła polska w Brazylji dostanie trochę groszy. Więc wdzięczność i uznanie wszystkim, co się do tego przyczynili.

Z Poznania piszą:

W teatrze naszym ruch niezwykły. Pan Edmund Ryger, niestrudzony nasz dyrektor, stara się wszelkiemi siłami przywabić publiczność. Repertoar mamy urozmaicony, wszelkie nowości pojawiające się na polskich, lub zagranicznych scenach, bywają u nas zaraz przedstawiane. W ostatnich czasach, odegrano jednoaktowy dramat autora włoskiego, Roberta Bracco p. t. *Petro Caruso;* dramat daje sposobność do popisu siłom pierwszorzędnym. Postać tytułową, odegrał p. Ryger, a grał tak, jak pewnie lepiej na żadnej innej scenie polskiej nie zagrają. Gra p. Rygera ogromne robiła wrażenie, wśród publiczności.

Od kilku lat mamy dobry dramat i komedję, nie wystarczało to jednak naszym teatromanom — nuże w lament: operetki chcemy! operetka nas bawi! Macie operetkę, czy wodewil, pomyślała dyrekcja i sprowadziła siły wokalne, dając na pierwsze danie *Gorącą krew*, wodewil.

W rocznicę zgonu genialnego mistrza tonów Szopena, odegrano sztukę, noszącą w tytule nazwisko jego. Sympatyczna i pociągająca wielce sztuka, grana pod koniec ubiegłego sezonu z prawdziwem powodzeniem, zgromadziła w teatrze wielbicieli wielkiego rodaka, którego postać ucieleśnił dyrektor Ryger.

T.

— *Dumania przyrodnika*, spisał Henryk Merczyng. Petersburg, drukarnia K. Grendyszyńskiego 1900. W książeczce niewielkiej objętości (134 str. in. 16°), autor stara się wyjaśnić, że pomimo rozkwitu nauk przyrodniczych, są i zawsze istnieć będą dla nas wieczne zagadki, że wszystkie zdobycze wiedzy nie zbliżają nas wcale do poznania „rzeczy samej w sobie“, ani do wyjaśnienia początku i końca wszech rzeczy. „Dumania“ są zbyt pobieżne i nic nowego w sobie nie zawierają. Naobszerniej, a zarazem najlepiej napisanym jest szkic p. t. „Eter“, w którym czytelnik, obznajomiony z zasadami fizyki, znajdzie bardzo dobrze wyłożoną teorję elektromagnetyczną światła. *T.*

— Z powodu dwóch polskich rocznic, przypadających w r. b., pisma rosyjskie zamieszczają artykuły okolicznościowe: „Birż. Wiedom.“ dają portret Szopena, „Wołyń“ drukuje fejleton, poświęcony pamięci Juliusza Słowackiego.

Echa zamiejscowe.

Z Krakowa.

Krakowskie Towarzystwo techniczne, wzięło sobie to chwalebne zadanie, aby śledzić za rozwojem wielkiego przemysłu krajowego. Zwiedziwszy przedtem gazownię miejską, zwiedziło następnie w licznem gronie fabrykę maszyn i odlewarnię L. Zieleniewskiego. W gronie zwiedzających, oprócz prezesa Towarzystwa, p. W. Wdowiszewskiego, zauważyliśmy p. Józefa Horoszkiewicza, dyrektora kolei państwowych, oraz wielu profesorów, kierowników zakładów technicznych i wybitnych inżynierów kolejowych i cywilnych. Nie wszystkich stosunki łączą z fabryką L Zieleniewskiego, wielu było w niej po raz pierwszy, albo też mieli w pamięci dawną fabrykę, przed laty przy ulicy św. Marka położoną, a przez ś. p. Ludwika Zieleniewskiego w roku 1848 postawioną. Dzisiaj zakład przy ulicy Krowoderskiej, jest fabryką w całem tego słowa znaczeniu, a technicy nasi z dumą i radością patrzeć mogli na to dzieło, owoc pracy dwóch, a może trzech pokoleń, zadające kłam twierdzeniom, jakoby u nas przemysłu fabrycznego nie było, a co więcej, jakoby ten nie miał u nas warunków powodzenia. Fabryka firmy Zieleniewskich, właściwie znaną jest w Krakowie prawie od początku tego stulecia. Zawiązkiem była kuźnia na Stradomiu, prowadzona przez dziada i przez ojca, temu pół wieku przemieniona i na fabrykę przekształcona, wreszcie przez synów, braci Leona i Edmunda, doprowadzona do rozmiarów fabryki, zatrudniającej obecnie 300 do 400 robotników, mogącej na każdem niemal polu, jako fabryka maszyn i odlewarnia konkurować z poza krajowemi firmami, a co więcej znajdująca coraz liczniejszych odbiorców po za granicami Galicji. W chwili odwiedzin, widzieliśmy w wykonaniu zamówienia do Poznania, Warszawy, Budapesztu i Pragi czeskiej, oprócz wielu robót i dostaw dla odbiorców galicyjskich.

U nas, gdzie tyle burz przechodziło, gdzie w oczach naszych, tyle na pozór pewnych instytucyj się zawaliło, gdzie tak mało jest zaufania we własne siły i powiedzmy prawdę, tak mało solidarności, w popieraniu się wzajem, obok nieograniczonej wiary w mądrość żywiołów obcych, a częstokroć nam wrogich, dziwić zaiste musi żywotność takiego, jak Zieleniewskich zakładu — który z małego poczęty, bez kapitałów, jakimi zagranica rozporządza, często nawet bez należytego poparcia potrafił przetrwać czasy zastoju, zwalczyć nieufność, nieustannie się rozwijać, a wreszcie wyrobić sobie znaczenie nie tylko w mieście i kraju, ale nawet po za jego granicami, jak świadczą liczne roboty w toku będące, które sami oglądaliśmy. — Więc u nas jest to możliwe! Więc nie wszystko nam się w rękach kruszy.

A teraz przychodzimy do spraw naszego grodu.

Parlament austrjacki skutkiem obstrukcji, długi czas nie był w możności załatwić najważniejszych spraw państwa, ale Rada miejska miasta Krakowa, stoi pod tym względem o całe niebo wyżej, od parlamentu, bo bez obstrukcji i jakichkolwiek innych przeszkód, do załatwienia ważnych spraw miasta się nie zabiera. Moglibyśmy tu wiele takich spraw przytoczyć, ale ograniczamy się tylko do jednej, to jest do sprawy budynku starego teatru. Od siedmiu lat, bezustannie Rada miasta zamyśla coś zrobić ze starym teatrem, ale od siedmiu lat cała sprawa, ani o włos naprzód nie postąpiła, a zdaje się, jeszcze długie lata miną, zanim coś stanowczego w tej sprawie, już nie dokonane, ale postanowione zostanie. Jeżeli w starym gmachu teatralnym, ma być urządzona sala balowa i koncertowa, to prawdopodobnie ci, którzy tam dawać będą koncerty, albo też będą tańczyć, obecnie jeszcze o przyjściu na świat wcale nie myślą. Szkoda tak wielkiego gmachu, który stoi zupełnie bez użytku i gdzie tylko odbywają szczury tańce i wesela, a raz na rok króluje c. i k. komisja asenterunkowa. Kto wie, czy kiedy na gmachu starego teatru nie zajaśnieje napis: »Kraków szczurom i c. k. komisji asenterunkowej«.

Lepszymi względami od teatru cieszy się krakowska tandeta, bo Rada miejska uchwaliła tandety nie znosić. O ile słyszałem, powodem tej uchwały były względy czysto naukowe. Plac, na którym jest tandeta, jest zarazem ojczyzną bakteryj wszelkiego rodzaju i gatunku. Prof. Bujwid nie potrzebuje posyłać po brakterje za granicę i płacić za nie znaczniejsze kwoty, bo udawszy się na plac, gdzie jest tandeta, znajdzie jak najnowsze okazy brakteryj, które hodowane na świeżem powietrzu, są silne, zdrowe, dobrze zbudowane, bardzo płodne i szczególnie nadają się do badań bakterjologicznych.

Smok.

Z *Tarnowa* donoszą:

W dniu 21 października, o godzinie jedenastej przed południem, otwarta tu została wystawa ogrodnicza. W akcie tym wzięli udział: księżna Sanguszkowa, jako protektorka Towarzystwa, za którego inicjatywą wystawa urządzoną została, dr. Dunajewski z małżonką, prezes i wydział Towarzystwa, oraz wiele zaproszonych gości. Wystawę otworzył dr. Mieczysław Gałecki.

Zgromadzeni, zwiedzali szczegółowo wspaniałe okazy licznych płodów ogrodniczych. Wystawione przedmioty mieszczą się w sali Towarzystwa strzeleckiego w ogrodzie miejskim, oraz w dwóch przeległych werendach. Wystawa przedstawia się bogato, a prześliczne okazy kwiatów kwitnących, bukietów, roślin ozdobnych, drzew, jarzyn i owoców, imponuje pięknością i doborem gatunków.

W werendzie znajdują się wystawione przez kraj. szkołę ogrodniczą ugrupowane umiejętnie narzędzia ogrodnicze i przyrządy, służące do przerabiania owoców.

Wydziałowi Towarzystwa należy się uznanie i podzięka, za podjęte trudy około urządzenia tej wystawy ogrodniczej.

Ze Stryja. Odbyło się walne zgromadzenie w tut. Towarzystwie muzycznem. Prezesem wybrano komisarza pow. p. Berwida, zaś viceprezesem p. Niedzielskiego.

Klub maszynistów kolejowych, pożegnał wspaniałym bankietem nadinżyniera kolejowego p. Bertolda Wolskiego, przeniesionego do Lwowa. P. Wolski cieszył się w Stryju wielką sympatją publiczności; był prezesem resursy i Towarzystwa muzycznego.

Od dwóch tygodni gościmy w murach naszego miasta jedną z najlepszych trup teatralnych w Galicji. Trupa ta, pod dyrekcją A. W. Czaykowskiego, cieszyła się dobrem powodzeniem we Lwowie. Nie dziw więc, że i w naszem mieście zjednała sobie szczere uznanie i poparcie publiczności. Na razie, mieliśmy sposobność widzieć takie sztuki, jak np. *Pod białym koniem*, *Odgrzewana miłość*, *Papa Pepy*, *Kontrolor wagonów sypialnych* i *Dzwon zatopiony*. Ogólnem uznaniem cieszy się pani Czaykowska, komik Halski i p. Czaykowski. Teatr ten zabawi u nas jeszcze prawie miesiąc.

E. H.

W lot.

═ Uroczystość Szopenowska.

Na całym obszarze dawnej Polski są trzy miasta, które życiu naszemu narodowemu ton nadawać powinny. Pierwsze miejsce wśród nich zajmuje Warszawa — to serce Polski, męczennica nasza, czująca ciągle knut moskiewski na swym grzbiecie. Ale przecież pomimo wszystko, ona zawsze pamięta o tem, że jest stolicą Polski. Drugiem miastem jest Kraków, stolica Jagiellonów, cichy i poważny.

Trzeciem jest Lwów, który dzisiaj, jako stołeczne miasto w Galicji, powinien przy konstytucyjnej swobodzie przodować. Niestety tak nie jest.

Ot weźmy najświeższy wypadek. Obchód rocznicy zgonu największego polskiego muzyka Szopena. Podczas, kiedy ta gnębiona Warszawa uczciła jego pamięć skromnym, lecz poważnym wieczorem, kiedy Kraków okrzyczany, jako siedlisko »zacofańców«, zrobił, co było można, aby uczcić pamięć największego mistrza tonów, lwowskie Towarzystwo muzyczne na nic podobnego się nie zdobyło. Nie było dobrej woli i brakło czasu, bo jesteśmy obecnie zajęci wyborem dyrektora Towarzystwa muzycznego. Melcer, czy Sołtys! W kąt, więc Szopen, w kąt sprawy narodowe, bo Melcerowce i Sołtysiaki walczą ze sobą. — Istna wojna »białej i czerwonej róży«. A jednak zdawaćby się mogło przeciętnemu śmiertelnikowi, że w obec rocznicy zgonu, tak wielkiego naszego mistrza, jakim był Szopen, powinna ta walka nazwana »fartuszkową« ustąpić na bok, a nasi »wielcy« powinni byli nie zapominać o tym wielkim muzyku, który podsłuchał śpiew polskiego ludu i dlatego jest na wskroś naszym.

Jeżeli tacy potentaci na polu muzyki, jak Schuman, lub Liszt zapoznali świat z muzyką Szopena, to przecież i nasi »wielcy« powinni czcić jego pamięć i oddać hołd należny. Lecz u nas inaczej. — Szopen w nocy z dnia 16. na 17 października zamknął powieki, a my dopiero wyczytawszy, że w innych miastach urządzano obchody Szopenowskie na 26 zapraszamy publiczność na żałobne nabożeństwo. Nic dziwnego!... Wszak dzisiaj hasło naszych *pseudo* mistrzów jest w jednej połowie Melcer, w drugiej Sołtys!... A co tam Szopen, on tylko grał na fortepianie, nie skomponował żadnej opery, żadnego nawet oratorjum.

Bawcie się panowie! Urządzajcie wybory dyrektorów Towarzystwa muzycznego, bo od tego zbawienie Polski zależy, lecz pamiętajcie o tem, że społeczeństwo, uczciwie po polsku myślące, odwróci się od was i z ironją waszym kunsztykom przypatrywać się będzie.

═ Trzechsetletni jubileusz biblji Wujka.

W r. b. upłynęły właśnie trzywieki, od ukazania się w prastarym grodzie Krakusa całkowitego przekładu ksiąg Pisma Świętego, dokonanego przez ks. Jakóba Wujka z Wągrowca, członka zgromadzenia Jezusowego. Właściwie mówiąc, biblję w języku ojczystym mieliśmy znacznie wcześniej bo już od r. 1561, lecz przekład Wujka, dokonany z polecenia Stolicy Apostolskiej, jest dla nas tem, czem Wulgata dla całego świata katolickiego. t. j. stanowi jedyne, przez Kościół zatwierdzone polskie tłomaczenie Pisma Św. Druk »biblji« rozpoczął się wcześniej i już w r. 1593 pojawił się z tłoczni Piotrowczyka w Krakowie przekład solski »Nowego Testamentu«, stanowiący niejako wstęp do pomnikowego dzieła nowego kaznodziei, tj. całkowitego wydania przekładu Wulgaty. Obok doniosłego znaczenia religijnego, przekład Wujka ma pierwszorzędne znaczenie dla literatury, jest bowiem pomnikowym zabytkiem piśmiennictwa z końca XVI. w., obrazem polszczyzny spółczesnej i wzorem stylu biblijnego, który do dziś nie stracił na swej sile. Wujek stworzył ten styl, a i język znakomicie wzbogacił, posiłkując się w tym względzie istniejącymi przekładami, a zwłaszcza czeskim, który mu do obierania co najwłaściwszych polskich, nie mało pomógł.

═ Sprostowanie.

Na życzenie p. Jaworskiego niniejszem prostujemy o tyle wzmiankę o wywiezieniu panoramy Racławickiej do Ameryki, że p. Jaworski nie jest z powołania kupcem, lecz zawodowym agronomem.

Przegląd polityczny.

Rada państwa rozpoczęła na nowo swe czynności. Najstarszy wiekiem poseł Zurkan zagaił pierwsze posiedzenie i przystąpiono do wyboru prezydenta, którym wielką większością głosów, został obrany dr. Fuchs. — Co do niego, godziły się wszystkie stronnictwa, natomiast, co do osoby pierwszego viceprezydenta, walka między lewicą i prawicą była z góry de przewidzenia. Lewica postawiła kandydaturę pos. Pradego, prawica zaś do ostatniej chwili nie stawiała nikogo, jako swego kandydata, zajmując stanowisko wyczekujące. Dopiero przed samym wyborem, porozumiano się i postawiono dr. Piętaka, jako kandydaturę prawicy na godność pierwszego wiceprezydenta. W głosowaniu uzyskał on potrzebną większość, co lewicę, rozzuchwaloną ustępstwami nowego gabinetu doprowadziło do szczytu oburzenia. Hałas i krzyki karczemne towarzyszyły ogłoszeniu tego wyboru, a wściekłość opozycji, nie miała granic. To też przy wyborze drugiego viceprezydenta, cała lewica ostentacyjnie wyszła z sali, aby nie brać udziału.

Wynik tych wyborów jest jednakże pocieszającym. Stwierdzono bowiem, że prawica jest tak samo silną i skonsolidowaną, jak była dotąd i, że rząd musi się z nią liczyć, bo bądź co bądź, stanowi ona większość i bez niej rządzić nie można.

Gabinet hr. Clarego t. z. przejściowy jest zręczny. Jednym z pierwszych jego czynów, był wniosek, o zniesienie stempla dziennikarskiego i kalendarzowego. Jest to wędka rzucona dziennikarzom, aby gabinet popierali, Lecz w tym wypadku, trochę pesymizmu jest potrzebne. I kiedyż ten stempel dziennikarski zostanie zniesionym? Najpierw Rada państwa musi uchwalić, następnie musi ta uchwała parlamentu przejść przez alembik Izby panów, a potem jeszcze uzy-

skać sankcję monarszą. Stosując nasze stare przysłowie: »Za nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje«, możemy czekać i czekać i nie jednemu rosa oczy wyje..

Daleko głębiej idący wniosek p. Lewickiego o wolnym kolportarzu, nie doczeka się prędko urzeczywistnienia, bo w Austrji wolny kolportarz«, uważa się za rzecz niebezpieczną.

Lecz reasumując wszystko, zaznaczyć należy, że stosunki nasze polskie mają się jak się to mówi: »ku lepszemu«.

W chwili, gdy to piszemy, toczą się rokowania z posłami galicyjskimi, różnych stronnictw, aby wstąpili do Koła polskiego. Czy te rokowania przyniosą pożądany rezultat, lub też chwilowo się rozbiją, to rzecz inna, ale w każdym razie jest bardzo znamiennem i dodatniem, iż jest prąd, aby się pogodzić. To pozwala przypuszczać, że to, co nie stało się dziś, stanie się jutro. Koło polskie przez wstąpienie do niego nowych czynników, musi się ożywić, a z drugiej strony, przez skompletowanie się zyska na sile i jeszcze więcej wpływu wywierać będzie, choć statut, już przestarzały, koniecznie zmienić trzeba.

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Rozpowszechnienie telefonu. Żaden bodaj z licznych wynalazków lat ostatnich nie rozpowszechnił sią równie szybko po całej kuli ziemskiej, jak telefon. Zaledwie dwa dziesiątki lat upłynęło od wynalazku Bella, a całą już kulę ziemską opasuje wielokrotnie sieć drutów telefonicznych i telefon jest niezbędnym pomocnikiem dzisiejszego kupca. Pierwsze miejsce, jak zawsze, gdy idzie o nowe wynalazki, zajmuje Ameryka. Już w roku 1892 ilość działających aparatów w Stanach Zjednoczonych wynosiła 200 tysięcy, obecnie zaś doszła do bajecznej cyfry 900.000. Bezpośrednio drugie miejsce zajmują Niemcy, licząc 140.000 aparatów w obec 93.000 w roku 1894. Pierwsze telefony w Niemczech urządzono w Berlinie w 1880 r., obecnie w samej stolicy Niemiec sieć telefoniczna liczy 320,000 abonentów, zajmując pierwsze miejsce na całym świecie. Berlin pozostaje w bezpośredniem połączeniu telefonicznem z 518 miastami i miasteczkami Germanji; najdłuższa wychodząca z Berlina linja idzie do Memla i liczy 1,012 km; drugie miejsce zajmuje linja z Berlina do Pesztu o 970 km. Zbudowana w 1892 roku linja Nowy-York-Chicago przewyższa jednak, licząc 1.520 km. drutu. Jest to najdłuższy drut telefoniczny na całym świecie. Oczywiście można się spodziewać, że w najbliższej przyszłości, połączenie telefoniczne najbardziej nawet odległych miejscowości, okaże się możliwem. Dotychczas istnieją rozliczne przeszkody natury technicznej. Naprzykład druty z Berlina do Memla i z Berlina do Pesztu wychodzą z jednej stacji centralnej, próby jednak rozmowy pomiędzy Memlem, a Pesztem nie udały się w skutek wpływów przeszkadzających na stacji w Berlinie. Obecnie Europa wzbogaci się linją z Paryża do Brukseli i Berlina o 1,000 z górą km. drutu bronzowego o 5 mm. średnicy. Doświadczenie jednak wykazało, że zupełnie nie opłaca się budowa telefonów przez rozległe, a mało zaludnione okolice, osobliwie zaś przez morze, albowiem w obec ogromnych kosztów, podobne instalacje nie procentują dostatecznie. W tych więc razach, stary telegraf nie pozwoli się wyprzeć młodemu, a groźnemu współzawodnikowi.

Powróćmy jednak na chwilę do statystyki.

Trzecie miejsce za Ameryką i Niemcami zajmuje Anglja z 75.000 aparatów; dalej idzie Szwecja z 50.000: Francja liczy 35.000, a mała Szwajcarja 30.000 telefonów. Następnie liczby spadają do 20.000 dla Austrji, 18.000 dla Rosji, 16.000 dla Norwegji, 15.000 dla Danji 14.000 dla Włoch. Hiszpanja i Holandja liczą po 12.000, Belgja 11.000, a Węgry 10.000 telefonów.

Dalej idą już państwa bardzo ubogie w telefony: w Australji, w Indjach, w Portugalji i Luksemburgu jest wszystkiego po 2.000 abonentów; Capland liczy ich 600, Rumunja 400, Bułgarja i Tunis po 300, Angola i Kochinchina po 200.

Rozwój telefonu jest niewątpliwie dowodem rozwoju handlu i przemysłu; smutne pod tym względem daje on świadectwo krajom łacińskim: Szwecja liczy o 15.000 abonentów więcej od Francji, a malenka Szwajcarja 8 razy mniej ludna od Francji, ma zaledwie o 5.000 aparatów mniej od niej, a dwa razy więcej, niż trzydziestomilionowe Włochy.

Największe dzwony na świecie. W Niemczech największy dzwon znajduje się w tumie kolońskim. Waży 543 cetnarów. Do Paryża nad szedł niedawno największy dzwon francuski, przeznaczony dla kościoła Serca Jezusowego na Montmartre. Fundatorami jego są sabaudczycy i dla tego nosi nazwę »Savojarde«, waży zaś 441 centnarów. Największe dzwony na świecie znajdują się w Moskwie i w Mingum. Dzwon moskiewski ulany w r. 1819, waży 10000 cetnarów, jest 7 metrów wysokości, średnica jego wynosi 8 metrów. Dzwon w pagodzie indyjskiej w Mingum waży podobno przeszło 2000 cetnarów. Zasługuje także na wzmiankę dzwon w kościele św. Szczepana we Wiedniu, ważący 354 cetnarów i dzwon »Marja Glorjosa« w tumie erfurskim 335 cetnarów. W Polsce największym dzwonem jest, jak wiadomo, »Zygmunt« w Krakowie z r. 1520 bardzo wielkiej wagi.

Usuwanie kurzu. Zawsze pomysłowi amerykanie, wymyślili nowy sposób usuwania kurzu, zgromadzonego na ozdobach, rzeźbach itp. miejscach, zkąd zetrzeć go trudno. Nowy sposób, dość prosty, polega na oczyszczeniu kurzu prądem ścieśnionego powietrza, zawartego w specjalnym naczyniu, do którego gumowa rurka przytwierdzona, pozwala kierować powietrzem według potrzeby. Zwykłym mieszkiem, używanym do rozdmuchania ognia, osiąga się podobny skutek.

Znakomitym środkiem do czyszczenia powietrza w pokojach, szczególnie, gdy w nich leżą chorzy, jest kawa mielona, której kilka szczypt rzuca się na żarzące węgle. Kawa mielona jest także dobrym środkiem zachowawczym dla mięsa. Mięso mające się trzymać kilka dni, posypuje się taka kawą.

Nowy sposób konserwowania jaj. W roku zeszłym, wykonano w Szkocji próbę z przechowywaniem większej ilości jaj nowym sposobem, który dał wyniki nadzwyczaj zadawalniające. W czerwcu 1898 roku ułożono w stosownym przyrządzie 50.000 jaj, zamknięto i zapieczętowano, a otwarto dopiero po pół roku. Jaja okazały się zupełnie dobre i niezmienione, zaledwie kilka było zepsutych. Nowy ten sposób polega na tem, że jaja podlegają oziębieniu i równocześnie cyrkuluje chłodne powietrze Aparat cały przytem obraca się na osi tak, że co pewien czas jaja odwracają się na drugą stronę i żółtko jest skutkiem tego zawsze białkiem pokryte. Międzynarodowe biuro patentów Kt. Reichelta w Berlinie podaje, że metoda ta ma wielką przyszłość przed sobą.

Użycie gliny do opatrunku ran. Dr. Stumpf zwraca uwagę na zalety, jakiemi odznacza się glina, użyta jako środek opatrunkowy. Opatrunki z gliny znane są od dawna, stosowano je w czasach starożytnych, a dr. Stumpf, posypując rany wysuszoną i sproszkowaną gliną, otrzymywał zadziwiające rezultaty. Cuchnące wrzody, które zakażały powietrze, nietylko w pokojach chorych, lecz także i w pobliżu domów, traciły szkaradny odór wnet po przysypaniu miałką gliną, a na ropiejących, mokrych ranach po dwóch, lub trzech dniach, nie znać było ani śladu ropy. Skuteczne swe działanie w opatrunku, zawdzięcza glina wyłącznie własności wciągania w siebie znacznej ilości wody, wskutek czego rany się oszuszają, a bakterje wywołujące rozkład i ropienie, tracą przyjazne warunki do rozwoju. Osuszający wpływ gliny jest tak dalece znaczny, że kawałek mięsa wołowego ważący 30 gr., umieszczony w 50 kg. gliny ważył po dwóch dniach już tylko 23 gr., a po 10 dnia skurczył się na twardą bryłkę, ważącą zaledwie 10 gr., która pod silnym naciskiem kruszyła się na ostrokończaste kawałki. Oszuszanie rany przez glinę odbywa się, rzecz prosta, tem szybciej, im szuchszą jest użyta glina i im większą ilością proszku posypie się ranę.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

Panów zgłaszających się listownie do Administracji zawiadamiamy, że miejsce zajęte.

Ludwiczek. Niema sensu.

Artystka. Pseudonimów, lub znaków używają recenzenci.

Ubogi młodzieniec. Ubóstwo, oczywiście nie hańbi, ale, że nie grzeje, to chyba nie ulega wątpliwości.

Powinowaty. Z tą redakcją nie mamy żadnych stosunków.

Lilijka. Słabe, jak... lilijka.

K. C. w Paryżu. Dobrze — poślemy.

Z. W. w New-Yorku. Wprzód trzeba przysłać pieniądze.

Kost Dy. Nie wolno, bo Nr. „Tygodnika“ uległby konfiskacie.

Autorom wierszy: „Łap — cap“, „Wiewióreczka“ i „Dajcie mi go“ — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Fabryka pudełek
i tutek cygaretowych
W. BEŁDOWSKIEGO
„N O R I S“
w Krakowie, Poselska l. 20.

Jak ocenić dobroć tutki cygaretowej?

1) Dobra tutka cygaretowa nie sprawia w ustach goryczy, pieczenia w krtani i na języku, suchości i drapania w gardle, wreszcie nie pobudza do kaszlu.

2) W czasie palenia, bibułka nie powinna naciągać tłuszczem i nie czernieć.

3) Spala się równo z tytoniem, zaś **popiół tytoniu** powinien być **jednostajnej barwy popielatej**, a nie pokryty **czarną żywicowatą** warstwą **zwęglonej bibułki.**

4) Nie powinna być zbyt cienką a przezroczystą, tylko przeświecającą w dotknięciu palcami wilgnąć, bo zawiera CELLULOZĘ (drzewo) i glicerynę. Te spalając się, odurzają i wywołują krztuszenie się, pieczenie w ustach, krtani i na języku.

Powyższe próby, oparte na naukowych i ścisłych badaniach chemicznych i fizycznych, oraz na doświadczeniu, wytrzymują Tutki cygaretowe fabryki

„N O R I S“

Dla łatwego wyboru tutek polecam:
Tutki „Maïs Numa“
„ **„Maïs Albert“** } do tytoni lekkich
„ **białe „Noris“**
Tutki „Maïs Wallis“ } do tytoni średnio
„ **„Maïs de Paris“** } mocnych.

Zwracam uwagę na tutki „Maïs, gdyż są znakomitej jakości.

Do nabycia w trafikach i handlach
(7095 — 12 — 12).

Istniejąca od r. 1880.
FABBYKA
najlepszych polskich wódek, likierów naturalnych, nalewek
M. TIEGERA
w Samborze,
poleca wyroby swoje po cenach najprzystępniejszych.
Wysełki uskuteczniają się także pocztą.
(7435-4-3)

Eliasz Luft
fabryka gipsu i farb
w Szczercu
założona w roku 1876.
poleca GIPS
1. alabastrowy
2. dla modeli
3. sztukatorki
4. murarski
5. nawozowy. (7479-4-2)

Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów
sprzedaje od 15. stycznia b. r.
PIWO BUTELKOWE
równające się co do smaku i jakości przednim gatunkom piwa zagranicznego:

a) **marcowe** $^1/_2$-litrowe butelki po ct. 10,
b) **Salvator** $^1/_2$-litrowe butelki po ct. 12, $^3/_{10}$-litrowe po ct. 10,
c) **czarny Bock** $^1/_2$-litrowe butelki po ct. 14, $^3/_{10}$-litrowe po ct. 11,

We Lwowie bezpłatna dostawa do domu, począwszy od 10 butelek. — Na prowincję wysyła się piwo począwszy od 50 butelek.

U W A G A.

Dla zapobieżenia wszelkim nadużyciom pokątnym napełnia się pod własną kontrolą oryginalne butelki z wyciśniętym napisem: **„Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów“**, który to napis znajduje się także wraz z protokołowaną marką ochronną na korkach, kapslach i opaskach.

Główny skład i zastępstwo butelkowego piwa Lwowskiego Towarzystwa akcyjnego browarów objął:

p. S. WIESER przy ulicy Sykstuskiej l. 14,
telefon nr. 149 7343-10-10

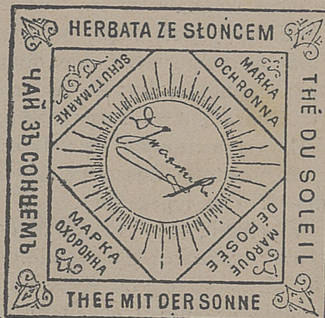
dokąd uprasza się przesyłać wszelkie łaskawe zamówienia.
Zamówienia z prowincji przyjmuje także **Centralne biuro Towarzystwa we Lwowie ul. Kleparowska l. 8.**

Zmiana lokalu.
Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że z dniem 1. kwietnia 1899 roku
DRUKARNIA
Józefa Romana Łakocińskiego
w Krakowie
przeniesioną została z domu pod l. 16 przy ul. Kanoniczej
do domu pod l. 23 w Rynku głównym
(naprzeciw odwachu).
Polecając się łaskawym względom Szanownej Publiczności, ręczę za dokładne wykonywanie powierzonych mi robót, po cenach najumiarkowańszych
(7345-6-5
Józef Roman Łakociński.

Nowo otworzony magazyn.

Nowości wełniane na suknie damskie
polecają
S. Kuszczak i R. Zubik
Lwów, plac Halicki l. 1. (7339-6-5)
CENY NAJNIŻSZE.

HERBATA ZE SŁOŃCEM.



Główny skład
na Austro-Węgry
D. IWANOWSKI
(7335-8-7) **LWÓW**
ulica Akademicka nr. 8.
Cenniki i próbki gratis i franco.

Materje wełniane i barchany na suknie i bluzki
poleca
w wielkim wyborze po nizkich cenach
ANTONI GUDIENS
handel płócien, stołowej bielizny i pościeli.
Lwów, Plac Marjacki.
Hotel Europejski. (7355-8-7)

Lwowska Filja
Banku galicyjskiego
dla handlu i przemysłu
ul. Jagiellońska 3.
podaje niniejszem do wiadomości, że objęła zakład zastawniczy Galic. Banku kredytowego i nadal na mocy uzyskanej koncesji i na podstawie zatwierdzonego przez c. k. Namiestnictwo regulaminu, udzielać będzie pożyczek na:
1. **kosztowności** t. j. drogie kamienie, wyroby **ze złota**, srebra i innych drogich kruszców.
2. **papiery publiczne**, kurs giełdowy mające.

Lwów dnia 15 czerwca 1899.
Lwowska Filia
Banku galicyjskiego
dla handlu i przemysłu,
Oddział zastawniczy,
(Przedruk nie będzie płacony)
(7458—3—2).

Hotel EUROPEJSKI,
Restauracja i Kawiarnia
Eliasza Helfmana
w Stanisławowie,
urządzone na wzór zagraniczny. Hotel o **siedmnastu pokojach**, z komfortem umeblowanych, usługa doborowa. **Restauracja i kawiarnia** w tym samym lokalu, elegancko urządzone, napoje wyborne, czytelnia pism miejscowych i zagranicznych obficie zaopatrzona. Cena pokoi przystępna. (7446-3-2)

Gorzelnie, Browary, Młyny, Tartaki
PERKUN Spółka komand. Fr. Pietzscha
Fabryka maszyn — Lwów (Podzamcze)
Wielka odlewarnia żelaza ul. sw. Marcina l. 11. (7331-20-13)

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.